ŚWIAT

Nr. 2

8-I 1927





HUMOR ZAGRANICZNY



— Mój Boże, jak to dzieci prędko rosną. Tak niedawno jeszcze nosiła długie sukienki!

(*Prager Presse*)

Od Administracji

W celu unormowania nakładu uprzejmie prosimy PP. Prenumeratorów o jaknajwcześniejsze wpłacenie należności za prenumeratę „Świata" za miesiąc styczeń lub kwartał 1-szy, gdyż z dniem 15-tym stycznia wysyłka pisma zostanie wstrzymana



CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 20 GR.

ROK XXII

ŚWIAT

№ 2

WARSZAWA, DNIA 8-go STYCZNIA 1927 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Wielki przewrót na Litwie

(Obraz prawie rzeczywisty)

Dopiero obecnie nadeszły prawdziwe wiadomości o wypadkach grudniowych w Kownie, pozwalające zorjentować się w przebiegu, powodach i celach dokonanego zamachu. Oto szereg autentycznych faktów w pragmatycznym rozwoju:

POLITYCZNE PRZYCZYNY REWOLUCJI

Stacjonowany w Olicie pułk im. W. Ks. Gedymina obchodził doroczne święto pułkowe, na które zjechali delegaci wszystkich oddziałów wojskowych z generalnym inspektorem armji, gen. Żukauskasem na czele. Wśród gości znalazł się major S. G. Plechawiczius, który świeżo powrócił z akademji wojskowej w Pradze Czeskiej i imponował wszystkim wiadomościami z wielkiego świata. W kasynie oficerskiem, gdy już dobrze kurzyło się z czubów, wywiązała się dyskusja polityczna.

— Wojsko nie powinno politykować — utrzymywał rotmistrz Kalinin, rosjanin w służbie litewskiej. — Nasza rzecz karność i subordynacja.

— To dobre dla kondotjerów— cedził przez zęby major S. G. Plechawiczius. — Armja dała Litwie niepodległość i armja musi czuwać nad jej utrzymaniem. Zły rząd może zgubić państwo.

— Nam wszystko jedno, jaki rząd jest u władzy — replikował rotm. Kalinin. — Jeżeli rozkażą, powiesimy tutaj portret Lenina.

— Coś pan powiedział? — zakrzyknął Plechawiczius.— A masz, a masz, za Lenina! —

I wyciął dwa razy w twarz rotmistrza. Ten porwał się do szabli, ale przeciwników rozdzielono. Na drugi dzień rotmistrza Kalinina osadzono na dwa tygodnie na odwachu, mjr. Plechawicziusa zaś oddano pod sąd wojenny.

Narazie pozwolono mu jednak wrócić do Kowna. Przybył tam cały wzburzony i wnet zwołał czterech serdecznych przyjaciół ze szkoły wojennej na naradę.

— Dość tej propagandy komunistycznej — krzyknęli chórem, wysłuchawszy relacji o zajściu w kasynie olickiem. — Należy działać....

ZAMACH ZBROJNY

Tejże nocy jeden z uczestników zebrania, major lotnictwa Mazurkiewiczius, dobrawszy sobie do pomocy sierżanta Kriwkisa, dwóch mechaników — pilotów i własnego ordynansa, wpadł na salę obrad parlamentu, który wśród ogólnego znudzenia rozpatrywał budżet ministerstwa rolnictwa.

— Proszę przerwać posiedzenie i rozejść się natychmiast — krzyknął oficer.

Na sali zapanowało ożywienie. Ponieważ było po godzinie 2 w nocy, niejeden poseł, drzemiący dotychczas, zerwał się na równe nogi. Bardziej wytrwali nie ukrywali radości, że jakiś incydent urozmaicił monotonne posiedzenie. Przewodniczący wicemarszałek inż. Kajrys w grzecznej formie zapytał nieo-

czekiwanego intruza, o co mu właściwie chodzi.

— Nie mam czasu na pogawędki. Armja i lud dość mają waszego gadania. Zabierać się stąd — ryczał lotnik.

Zjawił się i sam marszałek Sejmu dr. Staugajtis, który wypoczywał w sąsiednim pokoju.

— Panie majorze, — mówił.— Prosimy o wyjaśnienie.

— Żadnych wyjaśnień! Mam rozkaz wezwać Sejm do rozejścia się. Pozostawiam Panom jedną minutę do namysłu, poczem postąpię inaczej. — Tu wskazał ręką na stojących obok sierżanta Kriwkisa, dwóch mechaników — pilotów i własnego ordynansa.

— Ależ, panie majorze!... —zaczął wicemarszałek inż. Kajrys.

— Dość tego gadania! Jeżeli memu żądaniu stanie się natychmiast zadość ,to wszystko odbędzie się spokojnie. W przeciwnym razie zrzucam z siebie wszelką odpowiedzialność za skutki nieusłuchania mnie. — I znów zrobił gest w stronę swych podkomendnych.

Ci nasrożyli miny i łypnęli na posłów oczami, nic właściwie nie rozumiejąc z całej sceny.

— Zamykam posiedzenie — odezwał się wreszcie przewodniczący.—O następnem panowie posłowie zostaną uwiadomieni pisemnie.

Gdy przedstawiciele narodu wychodzili z gmachu sejmowego, na rogu ulicy Prezydenta ukazało się auto pancerne, kierowane przez drugiego uczestnika tajnej narady. Kursowało ono już od godziny po mieście, zwożąc aresztowanych w prywatnych mieszkaniach ministrów do gmachu Sztabu Generalnego, gdzie rezydował sam mjr. Plechawiczius i wydawał rozkazy.

UWOLNIENIE WIĘŹNIA STANU

Gdy tak dramatyczne sceny rozgrywały się przy ul. Sejmowej, pod więzieniem na ul. Mickiewicza stanął patrol huzarów czerwonych, z innym spiskowcem z mieszkania majora Plechawicziusa na czele. Rotmistrz Marcinkiewiczius (on to bowiem dowodził pięcioma huzarami) uderzył silnie we wrota więzienne i zażądał ich otwarcia. Wylękniony klucznik natychmiast spełnił życzenie.

— Gdzie cela pułkownika Głowackisa? — zakrzyknął oficer.

— Pan pułkownik sypia w pokoju za kancelarją więzienną, ale obecnie znajduje się u pana naczelnika na kartach.



Istotnie okna mieszkania naczelnikowskiego były rzęsiście oświetlone. Rotm. Marcinkiewiczius udał się tam, zostawiając swych huzarów w bramie na straży.

— Jak się masz, Mendog!—zawołał naczelnik więzienia, zobaczywszy wchodzącego rotmistrza. — Co cię sprowadza o tak późnej porze?

Ale wojak ominął wyniośle gospodarza i podchodząc do rozpartego w fotelu pułk. Grigaliunasa — Głowackisa, przyłożył rękę do czapki i zameldował służbowo:

— Jesteś wolny, pułkowniku!

Siedzący obok lekarz więzienny Piotrowskias i buchalter z filji Memeler - Banku Fiszkis zerwali się na równe nogi. Pułk. Głowackis powstał, przybrał bohaterską pozę i przemówił:

— Cztery dni i cztery noce więziono mnie w tych murach. I za co? Za to, że kocham moją ojczyznę — Litwę i pragnę, by była wielka, jak za czasów Gedymina, żeby odebrała zrabowane Wilno, Grodno i Sejny. Nie mogę się skarżyć, żeby administracja więzienna postępowała ze mną niegodnie. Przeciwnie, Fiodorze Afanasjewiczu—(tu zwrócił się do naczelnika więzienia), — jestem ci wdzięczny za ludzkie traktowanie i przyrzekam odwzajemnić się w odrodzonej ojczyźnie. Znalazłem tu też kilku dawnych podwładnych, którzy mi wszelkiemi sposobami pomagali. Tylko paru członków administracji więziennej o zabarwieniu lewicowem starało się mi szkodzić. Protestowałem przeciwko aresztowaniu, ale to nic nie pomogło. Wszystko to przyspieszyło przewrót. Jestem wolny! Co mówię? — Jesteśmy wolni!

— Walio! Walio! — krzyknęli chórem zgromadzeni.

— Da zdrastwujet! Ura! — wtórował basem Fiodor Afanasjewicz.

Cała kompanja wysypała się z mieszkania na podwórzec więzienny, gdzie spotkała oczekujących huzarów. Pułkownik objął komendę i na czele patrolu udał się ulicami Kiejstuta i Gedymina pod gmach ministerstwa obrony krajowej.

KRWAWE STARCIA

W Alei Wolności na rogu Prospektu Witolda rozległy się okrzyki. To dwaj zapóźnieni przechodnie witali oddział wojskowych różnych broni, prowadzony przez pułk.-leit. Skuczasa. Oddział ten z Prospektu Witolda wyruszył w kierunku Zamku. Gdy zbliżył się na kilkanaście kroków od bramy, stojący na warcie dwaj żołnierze zaniepokoili się.

— Stój! — krzyknął jeden z wartowników.

— Swoi! — odpowiedział pułk.-leit. Skuczas.

Ale warta nie dowierzała.

— Stój! — zagrzmiało znowu. Z oddziału spiskowców rozległy się śmiechy. Wtem padł strzał i jeden z oficerów, towarzyszących pułkownikowi-leitenantowi, upadł na bruk, obficie broczącc krwią. Napastnicy zawahali się. Wartownicy też przerazili się swego czynu i już bez oporu pozwolili się rozbroić. Spiskowcy wpadli do pałacu prezydenta. Szybko przebiegli puste pokoje i dostali się do sypialni.

— Kto tam? — odezwał się senny głos z głębi puchowego łoża.

— W imieniu armji jest Pan, Panie Prezydencie, aresztowany— oświadczył pułk.-leit. Skuczas.

— Co to za bolszewizm! Kto śmie targnąć się na prawowitą władzę? — wołał prezydent Grinius, pospiesznie wdziewając pijamę.

— Właśnie kładziemy kres rządom, które prowadzą do bolszewizmu.

Prezydent został internowany w pałacu.

POWRÓT KU PRAWU

Wiadomość o krwawem zajściu przed pałacem prezydenta obiegła kancelarje i urzędy wojskowe lotem ptaka. Wkrótce nadeszła też wieść o drugim wypadku: auto sztabu generalnego wpadło w Alei Wolności na dorożkę, którą jechał poseł socjalistyczny dr. Pajanjis. Koń został zabity, poseł odniósł poważne obrażenia całego ciała.

— Dość tego rozlewu krwi — mówił pułk. Szaszkiecz — do kilku oficerów, którzy, zaalarmowani wypadkami, przybyli do komendy miasta.

— To może doprowadzić do wojny domowej i do polskiej interwencji — przestrzegał komendant pierwszej dywizji, pułk. Jo-

kajtis. — Zamiast zdobyć Wilno, stracimy Kowno.

Pułk. Grinius, krewny prezydenta, pułk. Zelikis, kapt. Rudajtis i inni przyłączyli się do tej opinji. Propagatorzy ruchu poczuli, że grunt usuwa się im z pod nóg.

— Co robić, co robić? — pytał major Plechawiczius. — Ministrowie są poaresztowani, Prezydent internowany. Jeśli ich uwolnimy, to sami dostaniemy się do kozy.

Wreszcie ułożono plan. Zwolni się wszystkich uwięzionych, ale gabinet poda się do dymisji; powstanie nowy rząd i dokona się wyboru nowego prezydenta.

Tegoż dnia nad wieczorem odbyło się posiedzenie rady ministrów w dawnym składzie, gdzie zapadła uchwała podania się całego gabinetu Sleżewicziusa do dymisji. Prezydent Grinius przyjął dymisję i powierzył misję utworzenia nowego gabinetu prof. Woldemarasowi, posłowi z grupy narodowej Tautininków, poczem, zatwierdziwszy pełny skład nowego rządu, sam zgłosił ustąpienie. W dwa dni później odbyły się wybory prezydenta przez zwołany naprędce Sejm. Z 85 jego członków, przybyło tylko 42; 38 głosami wybrano na prezydenta drugiego członka grupy Tautininków —p. A. Smetonę. Trzeci i ostatni członek tej grupy, poseł Linartas, został leaderem tak znacznie zmniejszonej frakcji w Sejmie.

DONIOSŁE SKUTKI PRZEWROTU

— Konsekwencje przewrotu są bardzo głębokie — oświadczył nowy premjer Woldemaras korespondentom pism zagranicznych. — Wszyscy rozumieją konieczność rewizji obecnej konstytucji w kierunku wzmocnienia rządu i uczynienia go zdolnym do pracy.

W tym celu przystąpiono przedewszystkiem do zmian personalnych. Nowy minister spraw wewnętrznych, pułk. Mustejkis, który poprzednio był komisarzem rządu w Kłajpedzie, najenergiczniej wziął się do dzieła. Usunięto naczelników powiatów w Szawlach, w Telszach, Rosieniach i Rakiszkach. Tylko z Marjampola nie odważono się ruszyć, gdyż garnizon tamtejszy nie był pewny. Równie doniosłe reformy nastąpiły w ministerjum skarbu; zdymisjonowano dyrektora departamentu Jaksztemisa, referentów Staugajtisa i Kuźminskasa oraz kancelistów Leonasa i Mankauskasa. Najgruntowniejsze przemiany zaszły jednak w wojsku. Szef sztabu, płk. Szkirpa został aresztowany na szosie marjampolskiej na 7 klm. od Kowna. Zrazu postanowiono wytoczyć mu proces o opór zamachowcom i podżeganie do buntu przeciwko nim. Następnie jednak zdecydowano poddać go oględzinom lekarskim i uznać za niepoczytalnego. Na jego miejsce szefem sztabu został pułk. Skorupskis. Aresztowano naczelnika policji politycznej, który okazał się sadystą i morfinistą; stanowisko jego objął p. Bronisław Weżis. Nadto osadzono w więzieniu dwóch pułkowników, majora i trzech niższych oficerów, nie licząc osób cywilnych, podejrzanych o sympatje dla dawnego rządu.

Zupełny przewrót nastąpił w redakcji urzędowej „Lietuvy", redaktorem jej mianowano dr. K. Jokantasa, zastępcą jego M. Bogdanosa. Reszta członków redakcji pozostała ta sama. Major Plechawiczius uprzedził redakcję „Lieteuvos Zinios", organu ludowców, że pismo będzie skonfiskowane w razie powtórzenia się napaści na nowy ustrój. Jednocześnie rząd zapowiedział ogłoszenie nowych przepisów prasowych, gdyż obecne pochodzą z czasów rosyjskich i niedostatecznie zabezpieczają ład i porządek w republice litewskiej.

Sądząc z oświadczenia, złożonego prasie przez premjera, prof. Woldemarasa, niemniej doniosłe zmiany zajdą w polityce zagranicznej państwa. Poseł litewski w Berlinie, p. Sidzikauskas, w wywiadzie, udzielonym „Deutsche Diplomatische Politische Korrespondenz", sformułował to w następujący sposób:

— Poprzedni rząd był nieprzyjaźnie usposobiony do Polski, przychylnie do Niemiec i przyjacielsko do Rosji. Nowy rząd wrogo odnosi się do Polski, przychylnie do Rosji i przyjacielsko do Niemiec.

— Oto wielkie konsekwencje przewrotu!

Old.

Z TYGODNIA

Rząd nasz wziął na się dość niewdzięczną rolę Petruccia. Postanowił poskromić prasę — złośnicę. Zabiegi przecież, jakie dotąd czyni, są niezdarne. Pierwszy projekt przepadł niechlubnie; drugi, już przed wyjściem na świat, sprowokował torsje. Drogi Petruccio! Temi metodami nie zniewolisz pięknej Katarzyny! Ani złagodzisz jej kolerycznie nieznośnego charakteru! Drwić sobie będzie z twojej nieudolności.

Pytano Solona, czy mniema, że dał Ateńczykom najlepsze prawa, jakie mógł. Odpowiedział:

— Najlepsze z tych, jakieby znieśli.

Pewnym naszym politykom, zwłaszcza rakuskiej proweniencyi, wydaje się, że wszystko zło da się naprawić formułą nowego prawa. Rządzić, w ich mniemaniu, to wydawać nowe ustawy, groźne, przerażające. Bo im człowiek słabszy, tem bardziej chce drugich straszyć. Papkin najgłośniej chełpi się odwagą.

Aby powstrzymać zło, nie prawa należy zmieniać, lecz obyczaje. W rządzeniu zaś — nie nowe prawa decydują o powodzeniu, lecz umiejętność, rozumna stanowczość w ich stosowaniu. Po cóż wam nowa ustawa prasowa, skoro nie potrafiliście korzystać z dotychczas obowiązujących praw! Sprawy prasowe mają przeważnie charakter spraw honorowych. Sprawy honorowe muszą być rozstrzygane w ciągu 24 godzin. Czemuż to sprawy o potwarz czy obelgi w druku trwają po dwa lata i dłużej, czemuż taka sprawa wchodzi na wokandę dopiero po 5 — 6-iu miesiącach? Po cóż tworzyć nowe prawa, jeśli równocześnie nie ulepsza się sprawności sądów, przywalonych beznadziejnie zaległościami.

O polski Petruccio! Zachodzi obawa, że Katarzyna długo jeszcze za nos wodzić cię będzie i złość swą na twojej skórze skrupiać.

. . . .

Nasi mężowie stanu pochłonięci są ciągle wielkiemi sprawami. Tymczasem drożyzna pomalutku, lecz stale rośnie. „Czynniki miarodajne" przestały już zwracać na to uwagę.

Napoleon I był innego zdania. Gdy między jednem a drugiem zwycięstwem wracał do Paryża, zwykł był, podczas paradnych obiadów w Tuilleries, pytać sąsiadkę o

ceny masła i mięsa. I biada dostojnej damie, jeżeli nie umiała dać dokładnej odpowiedzi.

Napoleona interesowały w najwyższym stopniu warunki bytu przeciętnego obywatela. Miał w pamięci te czasy, kiedy jako młody oficer stołował się w trzeciorzędnych jadłodajniach paryskich, licząc się z każdym soldem.

I kiedy zdarzyło się, że sąsiadką Cesarza była przy stole jakaś madame Sans Gêne, która dosadnie umiała przedstawić wzmagające się kłopoty i udręki matki rodziny, — Napoleon nazajutrz zwoływał radę ministrów, mył im głowy, że się w kraju źle dzieje, skoro grasuje drożyzna. A że ministrowie drżeli przed nim, wnet spekulanci zaczynali drżeć przed ministrami. Bo w tych czasach do walki z lichwą spożywczą — i inną — nie nakładano rękawiczek.

Napoleon rozumiał, że podstawą ładu społecznego jest możność obiadu za tanie pieniądze. Z człowiekiem sytym można zawsze dojść do porozumienia. Głodnego nie przekonają żadne argumenty.

. . . .

Ostatnie dni grudnia przyniosły cały szereg nowych książek, poprawiając dodatnio bilans wydawniczy ubiegłego roku. Nakładem ruchliwej księgarni F. Hoesicka ukazało się wiekopomne dzieło Monteskjusza „O duchu praw" w świetnym, nowym przekładzie Tadeusza Żeleńskiego (Boya), z przedmową Wacława Makowskiego. Taż sama księgarnia jednocześnie wydała nowe powieści Alfreda Konara („W pogoni za szczęściem"), Adolfa Nowaczyńskiego („System dr. Caro"), Jerzego Brauna („Hotel na plaży"), Zygmunta Kisielewskiego („Błąd"), dwa tomy poezji: Emila Zegadłowicza („Dom jałowcowy") i J. K. Iłłakowiczówny („Płaczący ptak"). Właściciel księgarni F. Hoesicka, p. Steinsberg, jest człowiekiem odważnym: wydaje dzieła pisarzy polskich, nie sensacyjne utwory cudzoziemskie, — nie lęka się drukować wierszy! I, rzecz szczególniejsza, nie narzeka na brak czytelników, ani na autorów.

Efemeryda 95 - groszowa, — i tańsza — niosąca tandetę w krzykliwej okładce, już się przeżywa. Publiczność przekonała się, że nie należy dowierzać zbyt niskim cenom. Publiczność nauczyła się także sprawdzać, kto książkę wydał: do jednych wydawców ma większe zaufanie, do innych — mniejsze. Według zasługi.

Jeden z naszych grymaśnych księgarzy pyta ironicznie:

— Ale gdzie szukać tych dobrych nowych dzieł polskich? Z twórczością polską jest, jak z owem czystem płótnem w ramach, które miało przedstawiać przejście żydów przez Morze Czerwone: żydzi już przeszli, a morze jeszcze się nie zeszło. Starsi pisarze polscy już się „wypisali", młodzi piszą dla siebie, nie dla publiczności.

— Drogi panie! Rzeczywistość mówi inaczej. Ileż to cennych książek ukazało się w ostatnich czasach! Perzyński, Goetel, Choynowski, Nałkowska, Konar, Nowaczyński.... A przekłady Boya, które są tyleż warte, co oryginały!

Nie trzeba nadto mędrkować. Katon to już kiedyś powiedział, że mędrzec więcej nauczy się od głupca, niż głupiec — od najmądrzejszego.

. . . .

Sylwestra obchodzono w Warszawie hucznie i bez humoru. We wszystkich lokalach publicznych było pełno i nudno. W pierwszorzędnych restauracjach pojawił się na stołach szampan; tym, którzy zań płacili, mniej smakował.

Restauracje warszawskie w czasach powojennych ustaliły swą złą reputację. Organizacja ich, oparta przeważnie na zrzeszeniach kelnerskich, jest nieumiejętna. Jedzenie po większej części liche. Hałaśliwa muzyka, zupełnie niedostosowana do salonów jadalnych, czyni w nich pobyt niemiłym. Ceny są ponad wszelką miarę wygórowane. Mniej ostrożnego klijenta obdzierają bez litości. Oczywiście, ta spółka niedołęstwa ze zdzierstwem szczęścia nie przynosi.

Prawdziwy sabat jednak święci lichwa restauratorska dopiero w noc noworoczną. Już bez fałszywego wstydu, bez zakłopotania.

Dyogenes, gdy go pytano, jakie wino smakuje mu najlepiej, odparł:

— Cudze!

Niejeden obywatel stołeczny z westchnieniem powtarzał sobie w Sylwestra cyniczny aforyzm filozofa greckiego.

. . . .

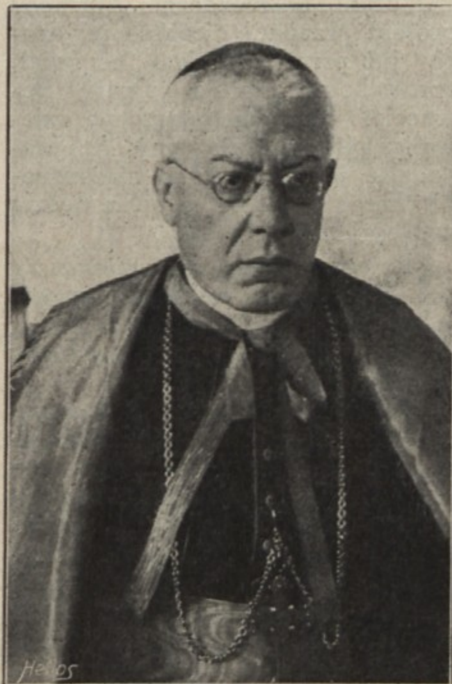
Czyż i wielu innych naszych kupców nie trzyma się tej samej zasady:

— Sprzedawać mało i drogo! Maksyma ta była może trafną w okresie inflacji; w czasach normalnych jest najbłędniejszą. Ale najłacniej trafia do przekonania umysłom ciasnym, pozbawionym inicjatywy, pomysłowości, energji, zdolności organizacyjnych. By produkować czy sprzedawać i dużo i tanio, te zalety są nieodzowne. One to, na Zachodzie i w Ameryce Północnej, odnoszą zwycięstwo.

Aby sprzedawać dużo, trzeba umieć się reklamować. Nasz kupiec najczęściej uważa, że gdy zgromadził towar w swych magazynach, uczynił wszystko, co do niego należało. W naszych uczelniach handlowych winny być potworzone specjalne katedry reklamy. Sztuka to jest dziś skomplikowana. W całym świecie kulturalnym odgrywa wielką rolę; u nas traktowana jest wstydliwie i wzgardliwie. Gdy interesy „nie idą", kupiec twierdzi, że nie ma na reklamę. Jeśli „idą" dobrze, uważa, że reklama jest niepotrzebna. I tak obraca się wciąż w małym i ciasnym kręgu, rzadko potrafiąc zdobyć się na szerszy rozmach.

skrz.

NOWY KARDYNAŁ



Monsignor Lauri, nuncjusz papieski w Warszawie, wybrany przez Święte Kolegjum na kardynała. Piuskę w imieniu Papieża wręczył nuncjuszowi P. Prezydent Rzeczypospolitej

Fot. Marjan Fuks

PROJEKT POMNIKA JULJUSZA SŁOWACKIEGO WE LWOWIE



Projekt „Żórawie". Nagroda I 3000 zł. Wykonał Jan Szczepkowski z Milanówka pod Warszawą



Projekt „Piasków". Nagroda III 1000 zł. Wykonał Jan Goliński z Warszawy



Projekt „Res". Nagroda II 1.500 zł. Wykonał Józef Rożyski i Józef Starzyski ze Lwowa

PRZYJĘCIE NOWOROCZNE NA ZAMKU WARSZAWSKIM



P. Prezydent Rzeczypospolitej prof. Ignacy Mościcki w dniu noworocznym przyjął reprezentacje sejmu, senatu, przedstawicieli mocarstw akredytowanych. W imieniu dyplomacji wyglosił przemówienie ambasador Francji Laroche



Wycieczka samochodowa do kraju Indjan

2)

Od Atlantyku do Pacyfiku

Jeżeli Ciechanowski i Kurnikowski nie dokonają dzieła konsolidacji, to będzie trzeba na tem przedsięwzięciu krzyż położyć na zawsze. Ale można przypuszczać, że zdrowy element kolonji polskiej tym razem w obliczu coraz bardziej na zewnątrz rosnącego prestige'u naszego kraju, którego jawnem świadectwem były niezwykle sympatyczne i optymistyczne oświadczenia profesora Kemmerera po powrocie delegacji z Polski, zdobędzie się na jeden wspólny okrzyk zgody i na taktykę współdziałania przynajmniej w sprawach ogólno-narodowych. Pomaga fakt, że wszystkie placówki konsularne, z pełnym taktu i zapobiegliwości D-rem Gruszką, konsulem generalnym w Nowym Yorku, mają świetnych pracowników.

Pięć sekcji naszego wczorajszego expresa ruszyło niemal o tej samej godzinie z Nowego Yorku do Chicago, to jest kilkadziesiąt wagonów nabitych ludźmi, opłacającymi bardzo wysoką specjalną taryfę, a codziennie na tej przestrzeni na różnych linjach sto lub może więcej pociągów mniej lub więcej zbytkownych odstawia tysiące pasażerów do tego miasta, dając świadectwo jego przemysłowej, handlowej i kupieckiej ważności, a zarazem świadectwo jego bogactwa! Ale bogactwo miast amerykańskich nigdy nie wyraża się w jego wyglądzie zewnętrznym: całe zakopcone, przymglone dymem i hałaśliwe Chicago, poza wspomnianym bulwarem i kilku budynkami nowszej struktury, niczem nie zdradza swego dobrobytu i swej potęgi. W ciągłym pośpiechu, widzi się jeszcze smutniejsze twarze, niż w Nowym Yorku, jeszcze bardziej na oślep przed siebie pędzące jednostki ludzkie, których życie spływa na wykonywaniu nakazanych rutyną odruchów, automatycznie niemal u wszystkich ludzi się powtarzających i — na wmawianiu w siebie szczęścia z tego nieustannego niepokoju płynącego. Ale takie pojęcie życia, jakie stwarza sobie lub stwarzać winna jednostka ludzka, do mądrego podziału pracy i używania uprawniona, tutaj nie ma zastosowania.

Wszystko w tym kraju polega na *przesadzie*, wytworzonej przez tak niezwykły i nieoczekiwanie nagły wzrost jego miast i bogactwa jego mieszkańców. W każdym razie ta kolosalność rzuca się w oczy Europejczykowi, a z jego opinją zgadza się wielka część intellektualnych przedstawicieli tego kraju, nad jego przyszłością nieraz bardzo się zasępiających. Budynki tak wysokie, że muszą sięgać gdzieś pod niebo, ludzie mieszkają na dwudziestych, a pracują na trzydziestych i czterdziestych piętrach, i w takim samym stopniu i rozmiarze odbywa się reszta życia i pracy ludzkiej, nieustannie zadziwiając nas cyframi rozmiarów, odległości, sum pieniężnych.

Zdawałoby się, że nawet natura tego kraju zaraziła się przesadnością wszelkich innych objawów życia: przesadnie straszne są ich katastrofy meteorologiczne, ich trzęsienia ziemi, huragany, niszczące całe miasta i miasteczka, ich zaspy śniegowe w pewnych częściach kraju, także co roku nawiedzające Nowy York i Chicago i wiele innych miast bardziej jeszcze na wiatry północne wystawionych.

Tych kilka godzin w przejeździe spędzonych w Chicago zrodziło we mnie na nowo uczucie smutku i przygnębienia, które stanowi taki szyderczy niemal kontrast z temi wymysłami wygody i komfortu, wśród których odbywa się to poranie się z życiem.

Może bez nich nie dałoby się ono wogóle pomyśleć. Może każdy nowy atak na nerwy ludzkie musi być zrównoważony dostarczeniem tym biednym skołatanym nerwom czegoś „w rodzaju" wypoczynku i rekreacji.

PRZEZ ŻYZNE KRAJE ROLNICZE

Wieczorem wsiadłem do pociągu, który przez trzy dni i trzy noce zaprowadzi nas już do samego Los Angelos, celu naszej podróży. Ten sam komfort, może nawet jeszcze większy, ze względu na długość tej „przejażdżki". Doskonały wóz restauracyjny, słynnego na całą Amerykę systemu Harveya, w którym niema masowego odkarmiania, lecz bardzo dobrze wyposażona kuchnia à la carte, usługa nadzwyczajna, naturalnie, jak cała służba pulmanowska, murzyńska, dalej salonik fryzjerski, kąpiel, manikiur, i na żądanie stenotypista.

Wspominam o tym komforcie tylko dlatego, że jest on z jednej strony dowodem wielkiego dobrobytu tego kraju, ale z drugiej stoi niemal w przeciwieństwie do prostoty całego otoczenia, przedewszystkiem zaś pasażerów. Ten sam stosunek wydatku, ten sam zbytek w Europie bywa tylko przywilejem najbogatszych albo lekkomyślnie przekraczających swoje możliwości finansowe, pociąga za sobą zwykle szyk i elegancję. W naszym pociągu jedzie kilku poważnych miljonerów, ale kilka osób pochodzi z małej mieszczańskiej sfery, z rozmowy zaś dwóch bardzo czerstwo i zdrowo wyglądających starszych jegomościów wywnioskowałem, że są zwyczajnymi farmerami i chodują migdały w Kalifornji. Zewnętrznie wszyscy przedstawiają

się jednako, skromnie, raczej nawet szaro, kilka pań ma jakieś lepsze futra, wiszące w kabinie, a brylanty zapewne dobrze pochowane, gdyż w podróży uważanoby je za śmieszną pretensjonalność. Bez przedstawiania się ludzie do siebie mówią i przestają mówić, wszyscy są dla siebie uprzejmi bez europejskiej galanterji. Wszystko razem daje atmosferę wielkiej swobody i naturalności, demokracji w najlepszem pojęciu tego wyrazu. Kto zechce robić studja antropologiczne, może z rąk, ze sposobu patrzenia przed siebie, wreszcie z chodu wywnioskować, że wygody życiowe i zbytek są przywilejem tych ludzi dopiero w pierwszem, drugiem a bardzo rzadko w trzeciem pokoleniu.

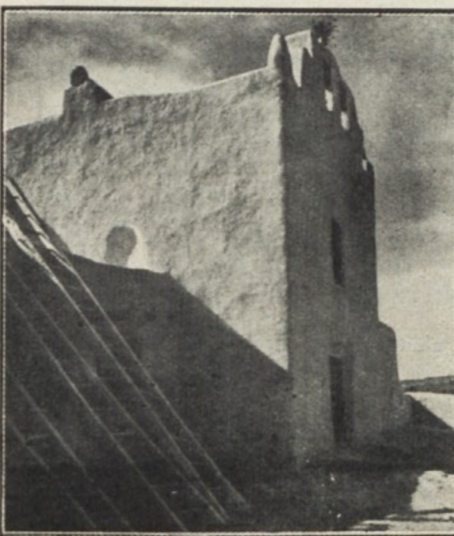
Temu odpowiada wygląd stacji kolejowych, przez które przejeżdżamy, ludzi na dworcach zebranych, wreszcie nawet prostota krajobrazu i tylko zrzadka spotykanych miasteczek, budowli i ulic.

Rano zatrzymujemy się w półmiljonowem mieście *Kansas City*, przejechawszy nocą duży szmat stanu Illinois, skrawkiem dotknąwszy stanu Iowa i kilkudziesięciu mil stanu Missouri. Krajobraz przeważnie przyjemny dla oka, jakkolwiek spokojny i płaski. Samo miasto Kansas City, położone na kilku pagórkach, mimo swojego wielkiego znaczenia handlowego, niezmiernie prymitywne: obok nowych kilkunastopiętrowych budynków, stoją skromnie z drzewa niemal polepione małe domki w ciasnych, zaniedbanych uliczkach.

Jednym z najciekawszych objawów, we wszystkich częściach Ameryki spotykanym, jest właśnie ta mieszanina prymitywnego życia z komfortem a nieraz i zbytkiem, na który sobie rzadko jakie miasto w Europie może pozwolić. Niemal na jednej rodzinie, często bardzo nawet na jednostce, wypisana jest ta krótka ale szybka historja tego kraju i ta pełna niespodzianek karjera jego mieszkańców. Dobrobyt tak szybko ich zaskoczył, że nie mieli czasu do niego zastosować jeszcze swojego życia. Sami twierdzą na swoje usprawiedliwienie, że cały naród, zajęty gorączkowo zdobywaniem pieniądza, nie miał jeszcze czasu na ich wydawanie. Stąd na każdym kroku rażące kontrasty: jakiś marny, odrapany domek obok wspaniałego pałacu; ktoś zaledwie wczoraj umyty z czarnego węgla, który sam kilofem wykopywał, zasiada w najdroższej własnej rezydencji i z tym samym spokojem przyjmuje narzucony mu przez bogactwo przepych, z jakim w ubóstwie wykonywał zabójczą czarną robotę w kopalniach.

Wszędzie się napotyka młodość i nowość tego kraju, mniej jaskrawe może już dzisiaj w Nowym Yorku lub Bostonie, bardzo jednak wyraźne, im bardziej się posuwamy na zachód.

Wjeżdżamy w stan Kansas, jeden z najbogatszych stanów Ameryki północnej, dostawca zboża, sławny przez znakomitą swoją pszenicę. Rolnictwo jest podstawą jego dobrobytu, jak i hodowla bydła. Gospodarstwo domowe stoi na bardzo wysokim poziomie, każdy farmer, nawet mniej zamożny, ma swój samochód lub samochodzik, wiele domów, zrzadka po szerokim kraju rozsianych, własne telefony.



Dawny kościół indjan w Laguna

Kraj bardzo równinny, w tej chwili dla oka przyjemny przez ślicznie żółcącą się zieleń łąk i ładnie rozsiane drzewka. Nazwy spotykamy już pochodzenia indjańskiego, stolicą jego Topeka, co w języku dawnych właścicieli tej ziemi oznacza „ziemniak".

Wieczorem wjeżdżamy na ziemie stanu Colorado, znanego nieraz pod nazwą amerykańskiej Szwajcarji. Ciężko ale równo mkną po zachodzie słońca nasze olbrzymy stalowe, po tych równinach, tu i owdzie bardzo lekko pagórkowatych. Myślą sięgam do krajobrazu polskiego, do naszych płaszczyzn z Poznańskiego, z któremi niedawno w domu moich przyjaciół się żegnałem, a potem do owej pięknej górzystej krainy Beskidu i Tatr małopolskich: ileż my w takim razie na swojej ziemi naliczyć możemy Szwajcarji, jeżeli skromny pejzaż Colorado rości sobie do tej nazwy pretensje. Zresztą to stan bardzo bogaty, farmy, hodowla bydła, kraina „cowboy'ów" i apaszów, tak często z przesadną barwnością pokazywanych w kinach. Zarazem kraj bogactw metalowych, kopalnie złota, srebra, miedzi i radu. Jego przedhistoryczni mieszkańcy zostawili tu ślady swoich siedlisk w świeżo odkopanych ruinach i szczelinach skalnych. Chowają się one po drugiej stronie gór Rock Mountains, pełnych dzikiego uroku.

Czwartego dnia opuszczamy stan Colorado i wjeżdżamy do stanu New Mexico.

INDJANIE.

Po całym kraju rozprzestrzenione są bardzo liczne nazwy stanów i miast pochodzenia indjańskiego, dawnych mieszkańców wielkiej części dzisiejszej Ameryki północnej. Ślady ich dzisiaj wszędzie się zatarły, zostały tylko niezliczone legendy i opowieści, których wszyscy w młodości nałykaliśmy się, pożerając z zapałem dzieje wzajemnie się nienawidzących plemion, które w pochodzie wieków tak zwana kultura i jej przedstawiciele zadusili bez litości.

Kraj, przez który w tej chwili nasze stalowe zwiastuny tej kultury bez pardonu pędzą z całą świadomością jedynego prawowładztwa i dokonania błogosławionego dzieła cywilizacji, zawiera jeszcze szczątki tej dawnej rasy barwnej, odzianej w romantyczne legendy. Tych kilkaset tysięcy czerwonoskórców, bardzo jeszcze prymitywnych ale wyrobionych w poczuciu rasowego i szczepowego honoru, ma wyraźne tradycje niesłychanej odwagi i wcale pokaźnego zamiłowania do sztuki, czego świadectwem są dawne ich przybory domowe, jak i wojenne i cały jeszcze dzisiaj niezupełnie zamarły przemysł artystyczny.

Obecnie Indjanie, którym pierwotnie zabrano ziemię i których zostawiono czas jakiś nawet bez ochrony prawa, mogą korzystać z pewnych zasadniczych praw *obywatelskich*. Mieszkają oni w tak zwanych „rezerwacjach", to jest ograniczonych przez rząd, dla ich własnego użytku oddanych przestrzeniach, w których wolno im rządzić się własnemi prawami i mieć własnych zwierzchników, własne obyczaje i uroczystości, o ile one naturalnie nie są w sprzeczności z ogólnie przyjętą w kraju etyką i moralnością.

Ryszard Ordyński

Los Angielos. (Dok. nast.)



Grób rodziny Mickiewiczów na cmentarzu w Montmorency

Z życia kolonji polskiej w Paryżu

ŚMIERĆ PANI MARJI MICKIEWICZOWEJ.

Dnia 17 grudnia kolonja polska paryska poniosła nową i bolesną stratę: zmarła pani Marja z Malewskich Mickiewiczowa, wdowa po ś. p. Władysławie Mickiewiczu, zmarłym tego lata Córka filarety i znanego patrjoty, przyjaciela Adama Mickiewicza, była ona jakby żywą nicią, łączącą dwa bardzo już odległe pokolenia. Mówiąc z nią, mimowoli zbliżało się do owych dawnych, zamglonych nieco czasów. W kilku słowach wywoływała nieraz jakąś sylwetkę nieznaną i czyniła ją prawie dotykalną, dzięki akcentowi pełnemu przejęcia, z jakim się wyrażała. Urodzona w r. 1834, pani Marja Mickiewiczowa liczyła obecnie przeszło 92 lata, a mimo to posiadała zadziwiającą nieraz pamięć i żywość umysłu. Tym, którzy nigdy nie byli na rue Guénégaud w dużym staroświeckim salonie, trudno sobie będzie wyobrazić, czem były poniedziałki u państwa Mickiewiczów. I my młodzi nie pamiętamy najświetniejszych czasów, ale przecież z ostatnich lat mamy choć mniej świetny, lecz równie wyrazisty obraz zebrań poniedziałkowych na rue Guénégaud. Stary dom, kręte, zdradzieckie schody, po których nieraz wchodziło się już przy świetle zapałek i już zdaleka dolatujący gwar polskiej mowy. A potem salon staroświecki z wielkim portretem Marji Szymanowskiej, babki ś. p. Władysława Mickiewicza, owej „królowej tonów", jak ją nazwał niegdyś Adam Mickiewicz, w romantycznej toalecie, z misterną koafiurą; naprzeciw mniejszy, słynny portret Adama Mickiewicza w burce, i dookoła wspomnienia, wspomnienia, wspomnienia.

I sama, jak wspomnienie, snuła się wśród gości maleńka staruszka, szczuplutka, wiotka, pochylona wiekiem, czepiając się nieraz sprzętów, aby przejść przez pokój, coraz niklejsza, coraz bardziej do ducha przeszłości podobna. Tylko w zgasłej starczej twarzy świeciły przedziwnie żywe i młode oczy, świadczące, że wszystko obecne nie wydaje się obcem ani oderwanem od przeszłości tej, która tak długą i bogatą przeszość miała za sobą. Pamiętała twarze i nazwiska nieraz nawet rzadko widywanych osób.

Dziwne wrażenie sprawiało to pogodzenie się z rzeczywistością i silnie obok niego trwająca wizja przeszłości. Nigdy nie zapomnę, jak pewnego wieczoru, opowiedziawszy mi o rozmowie ojca swego z wielkim księciem Konstantym Pawłowiczem, w taki sposób, jakby obaj należeli jeszcze do grona żyjących, pani Mickiewiczowa zaczęła mówić o prasie współczesnej i literaturze. Pomiędzy tem, co było, a tem, co jest, nie istniał dla niej przełom, umiała to łączyć w jedną harmonijną całość.

* * *

Ranek trochę szary, wilgotny, omglony, typowy ranek paryski zimowy. W starym kościele St. Germain-des-Prės, gdzie był opatem król Jan Kazimierz i gdzie do dziś dnia wznosi się jego przepyszny pomnik, w głębi, w jarzącej się od świateł kaplicy, niewielka trumienka tonie w kwiatach. Ksiądz Jakubisiak, czcigodny, wieloletni pasterz kolonji polskiej, nieco drżącym od wzruszenia głosem odprawia mszę. Obok katafalku klęczy cała w czarnych woalach panna Marja Mickiewiczówna, wnuczka poety, bardzo blada, ale wyprostowana sztywno siłą woli i napozór spokojna. Ostro rysuje się jej wyrazisty profil w żółtawem migotliwem świetle, zalewającem kaplicę. Dużo osób z kolonji. Panna Olga Boznańska, słynna malarka, p. Stefański, szef Biura prasowego polskiego, artysta-rzeźbiarz Franciszek Black, artysta-malarz Tadeusz Makowski, pani Łazarska, twórczyni prześlicznych lalek polskich i francuskich, pani Chełmońska, malarka etc. Ze świata literackiego p. p. Zygmunt Zaleski, Hieronimko, Paweł Kucharski, Włoszczewski, Przegaliński etc. etc.

Auto-wozy czekają... W drogę do Montmorency, gdzie znajduje się prawdziwy cmentarz polski. Niegdyś generał Kniaziewicz dał początek temu cmentarzowi, gdyż lubiąc bardzo Montmorency i mieszkając tam nieraz z Niemcewiczem, zakupił grób dla swego przyjaciela i dla siebie. „Karol Kniaziewicz, szlachcic polski, tu oczekuje zmartwychwstania", a za jego przykładem dużo wygnańców zapragnęło spoczywać na owym zacisznym, przypominającym polskie groby, cmentarzyku. Tu znajduje się grób rodziny Zamoyskich, gdzie spoczywa obok generała Władysława Zamoyskiego i sławna Klaudja Potocka, tu leży znany działacz i orjentalista Aleksander Chodźko, tu spoczywa Delfina Potocka, tu w zbiorowym grobie znalazł ostatni przytułek Cyprjan Norwid. I tylu tu, tylu innych. Na wielu grobach ślicznie wykute lub wyryte herby, cały herbiarz polski na tym małym prowincjonalnym cmentarzu francuskim.

Przechodzimy ponad otwartą mogiłą, nad którą wznosi się w ramie zielonych bluszczów bolesna maska Adama Mickiewicza. Cisza religijna, skupiona, tylko p.p. Zaleski, Hieronimko i delegat młodzieży w paru krótkich, głęboko odczutych słowach pożegnali zmarłą.

Z za chmur przedarł się blady, smutny promień grudniowego słońca i oświecił ciemne sylwetki i stosy przepysznych kwiatów. Jeszcze jedna mogiła na cmentarzu wygnańców w Montmorency. Obchodzi w przeszłość stara Polska tułacza, która mogłaby powtórzyć z Symeonem: „Teraz, Panie, puść sługę swego w pokoju, albowiem oczy moje oglądały zbawienie".

Dr. M. Kastersko

Paryż.



Sezon zimowy w Zakopanem



Fot. Jechobenbock

Minister Bertoni z córką; obok znany narciarz i zdobywca nagrody p. H. Bednarski



Andrzej Krzeptowski (Sokit) mistrz polski w narciarstwie



Wice premjer Bartel z córką u wejścia do „Hot. Bristolu“



Minister A. Zaleski wraca z popisów narciarskich

Z pamiętnika młodego literata

Chciałbym tak dużo, dużo pisać, tylko nie wiem, o czem. Są pisarze, którzy podobno nieźle żyją z pióra,—przyszło mi właśnie na myśl, czy nie dobrze byłoby ustroić się trochę w cudze pióra... i napisać à la ten lub ów poważnej historycznej powieści. Podobno na takich powieściach, dobrze odzwierciadlających daną epokę, nikt jeszcze nie stracił, a niejeden się wzbogacił. Nie jest to tak trudno, trzeba mieć tylko pusty zeszyt i pełną głowę przeczytanych odpowiednich dzieł, a jakoś to pójdzie. Zaczynam w imię Boże! — Tytuł dodam na końcu.

Rozdział I

— Nuże Jasiek! rusz że się, gamoniu! czegóż stoisz, jak ten lelek kozuduj i po powale ślipiami przebierasz, ruszaj że do bokówki i jejmościance powiedz, niechaj się grzecznie przebierze, bo gościa mamy nielada. Rzekłszy to, imć kasztelan Krakowicki klejnotu „rogi" poklepał swego gościa po plecach, aż cosik jękło w starościcu Chrobowskim, panu szerokich włości i jedynaku.

— Ejże!—rzekł nagle, zmieniając układny sposób mówienia, a brwi jego sumiaste ściągnęły mu się nad czołem. — Ejże! starościcu, kasztelańskiej dziewki wam się zachciewa, a wiesz li ty, panie Zbigniewie, że do alkowy kasztelanki Krakowickiej droga przez ołtarz prowadzi? — Ej, jakem ojciec, tak bym w turmie zamknąć kazał dzierlatkę, gdybym u niej w łożu gacha znalazł, hej! — Prawdziwemu nobile tak się postępować nie godzi, a pijże waszmość, bo mi widno, że ci coś gorzki mój trunek. — Dziewka od nijakiego czasu, odkąd waszmościa poznała, nie je, nie pije, a tylko wciąż gryzie się.

— Errare humanum est!—odparł spokojnie starościc, insekta złośliwego na głowie zabijając, snadnie boć mu już widać od dłuższej chwili dogryzał,—mylicie się mości kasztelanie, bo jakem Świnka po kądzieli, tak intencje moje zawżdy najczystsze wobec panny Pulcherji, dostojnej córki waszej, były...

— Aleś się z nią cackał, tako mi służebne doniosły, despekt zacnemu domowi czyniąc,—odparł kasztelan, już nieco pokornem zachowaniem młodzieńca udobruchany.

— Nie dla cackania, mości kasztelanie, za nią ja chodził, nie, ino z tego miłowania gorącego, a chcecie to jej się do stópek rzucę lub za kolana obłapię i o rączkę nadobną poproszę, a was, wielce miłościwy panie, o ojcowskie błogosławieństwo. Rzekłszy to, na jedno kolano przyklęknął i usta do jego ręki pochylił.

— W imieniu mojej córki, Pulcherji Krakowickiej, dwojga imion, błogosławię cię, drogi starościcu, i tym pocałunkiem, który na mojej dłoni złożyłeś, pasuję cię na zięcia. Jezu! — krzyknął nagle. — Jezu!! i przewróciwszy oczy, a wraz z niemi i puhar w mękę Pańską rzeźbiony misternie, usiadł ciężko na zydlu i tylko gardziel latała mu tam i z powrotem, jak długa.—Apage satanas! Apage satanas! szeptał nabożnie, trzęsąc się cały, powiedz, zaliś ty synem Belzebuba jest, czy moim?—zachwiał się, i ciężko runął na zydel z powrotem.

— Widno mi, szlachetny panie, że wam wapory uderzyły snaś do głowy, aliście poproszę panny Pulcherji, aby wam leków odpowiednich nawarzyła. Mówią, że ponoć merkurjusz z żabim skrzekiem, pomiotem nietoperza i zajęczą farbą skuteczne na one dolegliwości ma działanie.

— Rękę pokaż, prawicę! — straszliwym szeptem wybełkotał kasztelan,—sześcioro palców o!!— i rękę starościca porwawszy, pod światło ze stropu płynące podstawił.

Zachłysnął się starościc na on widok niespodziewany i prawie oniemiał.—Gdzie ja oczy miał przez tyle leciech, gdzie, zaiste, żem onego kazusu fatalis nie zoczył. Ba, bo gdybyż on jeszcze ów szósty nieboraczek w nosiech u mnie zamieszkiwał, alem to czynić nie zwyczajny zaiste, nie. Nie frasujcie się jednako o to, mości kasztelanie, a jako chcecie, to,—tu porwał się z kolan i roześmiał młodzieńczo, a siarczyście, — tym oto kordelasem, poturczeńca krwią splamionym, palec on nieszczęsny odetnę i kasztelance w złoto oprawiony, jako upominek rycerski złożę.

— Na Świętego Patrycjusza!— wrzasnął pobladły kasztelan, — spójrz waćpan! ino mi trupem nie padnij, boś nie białogłowa, lecz karmazyn. — Rzekłszy to, wstał, przyciągnął pasa i sześciopalcową prawicę swą położył na ramieniu młodzieńca.

— Ojcze! — ryknął starościc i straszliwy szloch zakołysał całą jego postacią, poczem runął kasztelanowi do nóg.

— Cichaj, synku, cichaj,—uspokajał go kasztelan pobladłemi usty,—nie twojać to wina, nie. Posłuchaj, tandem tedy: macierz twoja Anielicha Chrobowska, de domo, Świnka z Komorowa, święta była zaiste niewiasta i cnót pełna, raz jeno ze mną koło Wielgiej Nocy, jeno ze mną synaczku zgrzeszyła, Boże świeć jej duszyczce. A nocka synaczku była wonczas majowa i odorów kwietnych, słowiczych trelów, a łabędzich śpiewów pełna. Matuś twoja z małżeńskiego łoża się wykradłszy, kiecek uniósłszy, przez okienko, jak gołąbek biały, hycnęła prosto w moje ramiona. Co się podczas onej nocki działo, o tem ci się wiedzieć nie godzi, a i nieboszczki miłemi wspominkami w grobie poruszać nie trza.

Tu zaszlochał kasztelan i na swej sześciopalcowej dłoni oparł siwy łeb.

— Tedy, jako że nihilisine causa, w pół roku dzieciątko, zakwiliło w komorowskiem dworzyszczu, chłopak jak tur, urwis od małego i opój.

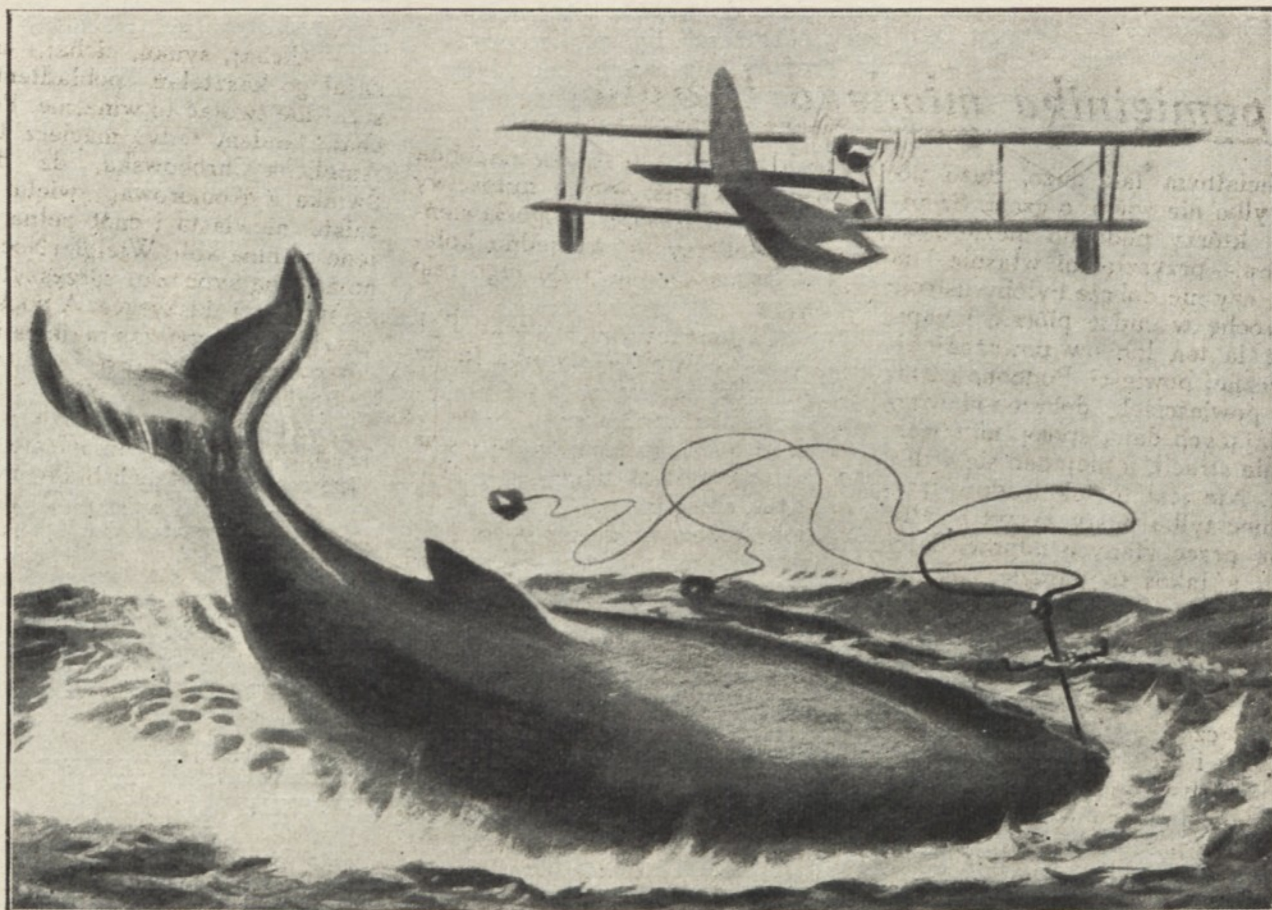
— To już widno mi, że to wasze być musiało, ojcze!

— Cichaj! starszym przerywać się nie godzi, owóż nikt nie wiedział, czyje to dzieciątko, ani ja sam, ani Kacper, małżonek Janieli, pijak on obrzydły. Potem poszedł ja w potrzebie z królem Jaśkiem Sobieskim ojczyźnie miłej służyć, a Janieli zmarło się przez on czas niebodze, dwadzieścia wiosen liczyła wonczas sobie, dzisiaj będzie miała z pięćdziesiąt, na cmentarzu w Niegnojowicach spoczywając w Panu.

Nagle ciężkie odrzwia otwarły się bez słowa, a w nich ukazała się cud piękności kasztelanka. Na kark włożyła sobie altembasową jupkę, suto forysiami drogocennemi obszytą; z pod grodenaplowej roby spływały do ziemi nogi, jak kolumny. Na jej licu, po którem widać było, że ordynarnej wody używać nie zwykła, jeno mazie, a zamorskie bielidła, malował się jakowyś smętek. Na ramionach dźwięczały jej złociste manele, a w uszach ostatnie starościca słowa: „Do nóg rodzicowi waszemu padnę i o błogosławieństwo błagać będę, boć miłuję was i za podwikę pojąć pragnę". Cichym krokiem podeszła do rodzica i kolana jego pokornie objęła.

— Nie źlijcie się, panie ojcze, jeno pozwoleństwo na nasz związek dajcie, — szepnęła, i rączkę swą w rękę starościca wsunęła.

Deus Mirabilis! — westchnął kasztelan, ale jakoż ja na ów związek kazirodczy przystać mogę, ja-



Lotnik rzuca w wieloryba harpun z aeroplanu z przymocowaną liną i pławikiem. Za ugodzonym olbrzymem mknie motorówka w oddali. Gdy wieloryb straci siły — nadjedzie okręt i w odpowiedniej chwili pochwyci łup

koż- kiedy on bratem twym, a tyś siostrą jego wszak.

Ogromne od ucha do ucha oczy kasztelanki łzami się wypełniły.

— Nijak to być prawdą nie może, — „chlipała" — nijak wpierw dowody dajcie — panie ojcze, a potem wiarę dam, i rączkami obiema zasłoniła liczko spopielałe, jak giezełko, które na sobie nosiła.

— Wiary nie dajesz! — charczącym głosem wykrztusił kasztelan i oczy mu na wierzch głowy wylazły, a na rękę twą spójrz, ino, a także na starościca prawicę, ha! nie dziwno ci, ejże?

Zapłoniła się dziewczyna i oczy spuściła.

— Takie one prawice, jako i wszystkie, jako i wasze, panie ojcze, nie widno, nijakiej różnicy niemasz — cichutko odparła.

— Et! dziewka nigdy do trzech zliczyć nie umiała, a miałażby do sześciu kalkulację wyczynić, jęknął kasztelan, poczem opuścił głowę na piersi i resztką sił wyzionął ducha.

Magdalena Samozwaniec

Wielki przegląd literacki „900"

Mówi się teraz bardzo wiele za granicą o nowopowstającym przeglądzie literackim „900", który wychodzić będzie w Medjolanie w języku francuskim pod redakcją Massima Bontempli przy współudziale najwybitniejszych pisarzy francuskich, niemieckich, angielskich i t. d. oraz większości młodych włoskich literatów.

Ukazanie się „900" poprzedza prospekt, w którym Bontempli daje artykuł programowy. Podajemy kilka charakterystycznych punktów tego programu:

„Najważniejszem i najpilniejszem zadaniem dwudziestego stulecia jest wybudować ponownie Czas i Przestrzeń.

Gdy nam się znowu uda uwierzyć w bezwzględny czas i bezwzględną przestrzeń, wtedy z łatwością oddzielimy materję od ducha i zajmiemy się niezliczonemi warjantami ich harmonji.

...Z ufnością weźmiemy na siebie drugi trud: wysiłek ponownego okrycia Jednostki, pewnej siebie, pewnej, że jest sobą samą, sobą w swej namiętności, sobą wobec powszechnej moralności. U szczytu tego wszystkiego będzie być może stał Bóg dobry dla modlitwy i walki. Bo w sumie idzie tylko o zbudowanie centrum, promieni, koła, kilku kątów, trzech wymiarów, kilku wieloboków — jednem słowem, trzeba wykreślić geometrję duchową.

...Jedynem narzędziem pracy będzie wyobraźnia.

Musimy się znowu nauczyć sztuki budowania nowych mitów, z których się narodzi nowa atmosfera, w jakiej zdolni będziemy oddychać... Kobiece zamiłowanie do muzyki ustąpi męskim dążnościom do architektury. ...Świat urojony będzie zapładniał i wzbogacał świat rzeczywisty.

Wyobraźnia i fantazja: ale coś odmiennego od bajecznego świata „Tysiąca i Jednej Nocy". Nie jesteśmy spragnieni złudy, ale przygody; życie codzienne i banalne, oglądane pod kątem czarodziejskiej przygody, życie jako nieustanne zdobycze bohaterstwa i chytrości.

Sztuka tworzenia stanie się ryzykiem każdej chwili. Nie być pewnym efektów, jakie się da. Obawiać się, czy natchnienie nie jest rzeczą sztuczną. Znaczy to skończyć z dogodnościami realizmu i oszustwami impresjonizmu. Żadnych z góry nakreślonych praw: każde dzieło, każdy rozdział, każda karta dyktować będzie swe prawa drakońskie i jedyne, które nie będą już prawem za drugim razem. Zasada życia i sztuki na sto lat: iść każdej przygodzie naprzeciw do chwili, kiedy się staje konstelacją, która runie.

...My nowi spragnieni jesteśmy wszechświata, ale nie chcemy być międzynarodowi.

Teatry warszawskie

Teatr Letni „Albatros" — komedja Fijałkowskiego.

Teatr Mały: „Najdroższa moja Peg" Mannersa.

Chociaż „Albatros" Fijałkowskiego nie jest debiutem scenicznym autora „Pana posła", to jednak dużo przemawia za tem, że sztuka ta została pomyślana nieco dawniej, a może nawet w samych początkach twórczości pisarskiej Fijałkowskiego; tyle w niej nieprawdopodobieństw sytuacyjnych, szablonowych djalogów, wymyślonych typów i nieco przestarzałych dyskusyj na tematy narodowo-społeczne. Środowisko komedji, filozofja i oświetlenie stosunku dziedzica do chłopa, teorja „trwania na ojcowiźnie" i t. p. — słowem, całe tło społeczne „Albatrosa" należy do psychiki przedwojennej. Współczesny jest tylko motyw polskiego marynarza, który na swoim okręcie przybywa do portu Gdańskiego. Motywu tego autor jednak dostatecznie nie wyzyskał.

Konflikt ziemi z wodą, instynktu chłopa z instynktem marynarza, został przeniesiony nieoględnie w zaścianek szlachecko - ziemiański, w którym Fijałkowski czuje się może najlepiej, lecz w tej sztuce mało ma o nim ciekawego do powiedzenia. Metoda, którą posługuje się autor w prowadzeniu djalogów i w charakteryzowaniu swych postaci, przypomina technikę komedyj Przybylskiego. Nie pozostawia on pola domyślności widzom, prowadzi rozmowy sceniczne wyłącznie we własnem imieniu, dążąc do zakończenia optymistycznego, które bywa często sprzeczne z psychologicznem założeniem sztuki.

Wynikiem takiej metody, stosowanej przez Fijałkowskiego, był cały szereg nieporozumień. Teza, której rzekomo bronił i którą chciał narzucić (marynarz osiada na roli), niedość się tłomaczy, a nawet ponosi klęskę; to samo dzieje się z obroną wielkiej własności, to samo z filozofją Lipowieckich. Wszystko, o co Fijałkowski walczył, wyszło z opresji komedjowej pomniejszone, a tylko gruboskórny chłop, podkupujący niedołężnego dziedzica, zdobywa sobie względną sympatję.

Zawdzięcza ją autor świetnej kreacji Zelwerowicza, który kapitalnie zagrał rolę Zakrzosa. Charakterystyczną, chociaż szablonową postać zbankrutowanego ziemianina stworzył p. Mieczysław Frenkiel, którego nieporównany talent komedjowy ma ostatnio tak mało pola do popisu. Właścicielem „Albatrosa" był p. Leszczyński, grający tym razem jak gdyby bez wewnętrznego przekonania.

* * *

„Najdroższa moja Peg" należy do tej kategorji utworów komedjowych, które ujmują swoim humorem, sentymentem i lekką, nikomu nie szkodzącą satyrą. Komedja zbudowana szablonowo, oparta na jednej roli kobiecej, rozgrywa się na tle ostatniej woli bogatego wujka, który siostrzenicy swojej chciał zapewnić dobre wychowanie, majątek i męża. Z tego testamentu i z jego interpretacji wynikają wszystkie zawikłania, intrygi, flirty miłosne, a wreszcie narzeczeństwo.

Pani Jarkowska, grająca rolę Peg, jest napewno utalentowaną aktorką; posiada dużo pomysłowości scenicznej i temperament. Grze jej brak było wdzięku i pewnej nuty liryzmu, bez której komedja staje się groteską. Bardzo miłym aktorem jest p. Wesołowski.

E. B.

Drobiazgi teatralne

PIOTR WOLFF O KRYTYCE

Autor „Tajemnicy Poliszynela" opublikował w jednem z czasopism paryskich artykuł, w którym subtelnie i dowcipnie krytykuje... krytyków teatralnych. Jako punkt wyjścia do swych wywodów bierze słowa Henryka Becque'a, który powiedział:

— Grubym błędem krytyki jest jej nieznośna pretensja: chce, aby wierzono, że jest pożyteczną, skuteczną i zbawienną. Tymczasem nic z tego!

Krytyka teatralna? Po trzech dniach nikt o niej nie pamięta, nikt nie wie, co o sztuce napisano. I znów cytuje słowa Becque'a:

— Publiczność jest jedynym krytykiem, przed którym musimy chylić głowy. Publiczność nie wie, co to jest kłamstwo, perfidja, uraza, zawiść, nienawiść i pochlebstwo. Publiczność nie liczy się ani z dyrektorem, ani z autorem, ani z aktorem...

Komentując artykuł Wolffa, Clement Vautel pisze:

— Jest to twarde prawo, ale nieprzeparte. Nie pomogą żadne protesty. Teatr jest grą brutalną. Młodzi autorzy, — ofiary perfidnych pochlebców — muszą zrozumieć, że nie piszą dla wysługujących się im krytyków, lecz dla publiczności, dla szerokiej publiczności. Muszą zrozumieć, że szkoda marnować piękne, bujne lata na bezowocne walki z wiatrakami. Niektórzy już poczynają sobie zdawać sprawę z tej prawdy. Pojawiają się znaki, że następuje otrzeźwienie... Trzeba się liczyć z tym wstrętnym, obrzydliwym burżujem, który płaci...

— Błąd krytyki, a raczej pewnych krytyków, ciągnie dalej Vautel, polega na tem, że chcą być zawsze w sprzeczności z opinją płacącej publiczności. I dochodzi do tego, że ów płacący burżuj unika sztuk, które krytyka chwali, biegnie do teatru, gdy krytyka gani. Przepaść między upodobaniami publiczności a pretensjami krytyki staje się coraz głębsza: Publiczność ma dość zrzędliwego mentora. Nie chce go słuchać.

Czy te uwagi są słuszne tylko w Paryżu?

„BIAŁA KOMUNA" W TEATRZE POZNAŃSKIM.

Teatr poznański wystawił trzyaktową sztukę p. Wandy Zembrzuskiej p. t. „Biała komuna". Aktorka jest nieznaną jeszcze siłą w kunszcie scenicznym. Tembardziej więc należy podkreślić odwagę dyrekcji, że pokazała publiczności tę trzyaktową sztukę. Fabuła oplata się około walki światopoglądów: komunistycznego, kapitalistycznego i marzeń do powrotu na łono gospodarki naturalnej. Motywy miłosne pozostawiła autorka w cieniu, choć w kilku epizodach Halszka Donatówna i Orzecki miast o ideologjach mówią o stanach swoich serc. Publiczność przyjęła „Białą komunę" życzliwie. Większego powodzenia sztuka ta jednak nie miała, gdyż dyskusje programowe o różnych poglądach społecznych nie mogły zastąpić akcji. Dekoracje art. mal. Jarockiego wzbudziły powszechny oklask. Szczególnie w akcie III świetnie urządzona sala z dynamomaszyną.



Słynny śpiewak rosyjski, T. Szalapin przybył niedawno do Sydney Witano go owacyjnie. Przyjechał do Australji z rodziną

TEATR LETNI: „ALBATROS", KOMEDJA W 3-CH AKTACH M. FIJAŁKOWSKIEGO



Akt II scena środkowa: Frenkiel, Hnydziński, Zelwerowicz, Rotter-Jarnińska Fot. J. Malarski

TEATR MAŁY: „Najdroższa moja Peg", komedja w 4-ch aktach Mannersa



Wykonawcy ról głównych; p. Wesołowski i p. Jarkowska

TEATR POLSKI: „Bajka" Or-Ota

Fot. St. Brzozowski



Pp. Daczyński i Romanówna

W ÓSMĄ ROCZNICĘ POWSTANIA WIELKOPOLSKIEGO



Pomnik na cmentarzu górczyńskim w Poznaniu ku czci poległych powstańców z roku 1918: porucz. St. Rybka, gen. sekretarz związku powstańców i wojaków składa w d. 27 grudnia wieniec na grobie poległych Fot. Rubens

„TORTURA FEDRY" P. H. DEBERLY'EGO,

uwieńczona przez Akademję Goncourt'ów.

P. H. Deberly uczęszczał do kolegjum Jezuickiego. Solidne, religijne wychowanie zostawiło niezniszczalne ślady na ukształtowaniu duchowem jego indywidualności pisarskiej. Zaniechał swego zawodu adwokackiego, idąc za głosem powołania artystycznego. Po kilku zbiorkach poezyj dłuższy czas nic nie drukował. Dopiero rada życzliwa ś. p. J. Riviere'a skłoniła go do oddania wydawnictwu N. R. F. pierwszej powieści „Bezczelna" („Impudente"), która odrazu zdobyła powodzenie. Wślad za nią poszły „Prosper et Broudilfagne", ostra satyra społeczno-polityczna, „Ennemi des siens" i „Pancloche", ciekawe studja psychologiczne.

Podobnie, jak w „Bezczelnej", bohaterką „Tortury Fedry" jest postać energicznej kobiety o mocnej i wybitnej indywidualności. Z tą różnicą wszakże, że p. Helena de Kerbrat jest kobietą nawskroś prawą i uczciwą, co pogłębia jeszcze tragizm konfliktu. Nie mając nic oprócz szczerej życzliwości dla dużo od niej starszego męża, poświęca się całkowicie wychowaniu i urabianiu na swą modłę pasierba Marka. Z czasem wyłączne i gwałtowne przywiązanie do Marka przeradza się w uczucie inne, gorętsze i jaskrawsze, aż zazdrość o kochankę pasierba doprowadza ją do wybuchu namiętności i uświadomienia sobie otchłani, która otwiera się u jej stóp. Jedynie sentyment synowski i dziecinna nieświadomość niezdarnego Marka ratują ją od upadku. Poroniona jego próba samobójcza (z powodów niezależnych od fatalnej tajemnicy macochy) budzi w niej reakcję zbawienną, i autor zapewnia nas, że odtąd p. de Kerbrat będzie dla Marka li-tylko matką.

P. Déberly rozwinął temat antyczny Fedry na płaszczyźnie psychologji nowoczesnej, której rozwój u bohaterów zanalizował bystro i przenikliwie. Pomimo pewnej chropowatości stylu książka napisana jest w sposób, który łączy jasność wątku i wykładu utworów XVII-go wieku z pogłębieniem psychologicznem najlepszych powieści współczesnych.

E. W.



Henryk Deberly, laureat Akademji Goncourt'ów Fot. Manuel

Międzynarodowy Konkurs Im. Chopin'a w Warszawie

Zgłoszenia na ten konkurs, który z inicjatywy Wyższej Szkoły Im. Chopin'a a następnie Rządu odbyć się ma przy końcu stycznia w Filharmonji, napływają obecnie w przyśpieszonem tempie.

W pośród stających do zawodów młodych pianistów (jak wiadomo, udział brać mogą artyści do 28 roku życia) spotykamy nazwiska, znane już w świecie muzycznym. I tak z wirtuozów zagranicznych przyjeżdżają do Warszawy: Młody profesor Forné z Walencji, Münzer z Berlina, Reinhold z Rygi, Swoboda z Zürichu, uczeń Rosentala Goldzand z Wiednia (odbył już kilka tournée koncertowych z wielkiem powodzeniem), Szwarc z Petersburga, Kugel z Wiednia, Van der Paff z Holandji, Mikelka z Pilzna, świetnie zapowiadający się uczeń De Greef'a Momberts z Brukselli, Dobry-Christow z Sofji, Lewkowiec z Kijowa.

Kandydatury te przyjęto już. Jak widać, z wymienionego spisu niema jeszcze nazwisk Francuzów i Włochów. Napłyną one jeszcze zapewne, termin bowiem zgłoszeń ostatecznych przesunięto o dziesięć dni. Kandydatury włoskie i francuskie są ważne ze względu na pianizm obu tych krajów bardzo zaszczytnie znany z chopinowskiego stylu.

Z polskich pianistów przyjęto już udział w konkursie całego szeregu adeptów. Stają więc w szranki pp.: Wojtowicz, Sztompcha, Chętkowski, Gimpel, Ochlewska, Wolman, Micewski, Wiłkomirska, Jonasówna, Barówna, Bergwitz, Drzewiecki (młodszy), Etkinówna, Piasecki. Tak z Warszawy, jak też i z innych miast polskich kandydatury napływają jeszcze. Lista zamknięta zostanie dnia 10 stycznia. Konkurs sam zaczyna się dnia 23 b. m. Napięcie i zaciekawienie w świecie pianistycznym ogromne.

Należy jeszcze raz przyklasnąć doskonałej myśli inicjatorów tego konkursu. Chopin przebił sobie drogę genjuszem swym do rzędu pierwszych „klasyków". Jeżeli miarodajnym dla całego świata, gdy chodzi o wykonanie Beethovena, jest sąd Niemców, cóż dziwnego, że my jedynie możemy ustalać właściwą miarę wykonania Chopin'a.

Jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, by najwybitniejsi, sławni przedstawiciele stylu chopinowskiego znaleźli się w jury. Mamy tu przedewszystkiem na myśli Śliwińskiego i Michałowskiego.

jkb.

Przez kraj wód, duchów i zwierząt

Romanse o „podróżniczym podkładzie" wydarzeń sercowych są chętnie czytane. P. Wacław Filochowski, młody, utalentowany nowelista, krytyk teatralny i feljetonista, postanowił dać naszej publiczności również taki „romans podróżniczy". Tytuł zaciekawiający, intrygujący „przez kraj wód, duchów i zwierząt" stał się wielce pociągającą atrakcją i tajemniczym magnesem, hypnotyzującym uwagę naszych literacko wyrobionych smakoszów. „Kraj bogów, ludzi i



Wacław Filochowski

zwierząt" F. A. Ossendowskiego jest obecnie czytany pod wszystkiemi szerokościami geograficznemi. Wacława Filochowskiego „wody, duchy i zwierzęta" są wklęsłem zwierciadłem tej poczytnej, podróżniczej książki , a na popularności zbywać jej nie będzie, bo któż nie lubi lekkiego, kulturalnego persiflażu? Egzotyka Filochowskiego syci się krajowo kąpieliskowem i uzdrowiskowem bogactwem motywów obyczajowych, leczniczych i przyrodniczych. Autor „wód, duchów i zwierząt" wesoło stwierdza:

„Kraj nasz ma dziwny zaprawdę klimat. Dość wybrać się dokądkolwiek na odpoczynek lub na kurację, by zaraz nazajutrz, a może tego samego dnia zaczęło lać".

Złote słowa! Działo się to w Ciechocinku według relacji W. Filochowskiego. Nie lepiej wygląda Truskawiec, Kosów, a nawet Zopoty, wesoło pokazane w ironicznych opowieściach o Panu Kuleszczaku. Udał się szczególnie „egzotyczny typek", Karol Jechna. Jego tragicznie - wesoła skromność jest sympatyczna i rozbrajająca. „Tydzień polskiej Mesyny" bawi też swoistym humorem...

Wszystkie te straszliwe perypetje egzotycznych przeżyć spotykają bohatera podczas poszukiwań miłej żony, która umknęła, jak się należy spodziewać, przyjacielowi, niejakiemu Zambrzyckiemu vel Jogi Guzyczyraki. Jest to więc nowa Odysseja, którą autor raczył nazwać „Ossendoją". Drobne to uchylenie od antycznego tekstu nie spotyka się ze sprzeciwem ze strony czytelnika. Raczej naodwrót. Cieszy się, iż zawrotne tempo wypadków prowadzi go po zaczarowanych krainach swojskiej egzotyki, na wesoło i figlarnie a z fantazją przedstawionej w tym nowym „romansie podróżniczym" pod wymownym tytułem: „Przez kraj wód, duchów i zwierząt"!

Notatki literackie

„WSPOMNIENIE O ADAMIE ŻEROMSKIM".

Minął rok od zgonu twórcy „Dumy o hetmanie". Społeczeństwo nie pomyślało dotychczas o uczczeniu jego świętej pamięci. Inicjatywa prywatna zdobyła się narazie na nową edycję „Wspomnień o Adamie Żeromskim", by z funduszu rozprzedażnego tej książki powstały pieniądze, przeznaczone na cel wyżej wymieniony. Pierwsze wydanie tych wspomnień ukazało się w 55 egzemplarzach. Zostało wytłoczone, jako rękopis, specjalnie dla grona osób, które „łaską miłości, przyjaźni i opieki darzyły ś. p. Adama Żeromskiego". Teraz książeczkę tę odbito w 5.250 egzemplarzach.

„Wspomnienie o ś. p. Adamie Żeromskim" jest pismem intymnem, opowiadającem miłość i boleść serca ojcowskiego po stracie syna. Jako dokument psychologiczno-moralny, wspomnienie to rzuca również wielce ciekawe światło na stosunek pisarza do jego syna. Opowiadając „dzieje życia Adasia", patrzy spokojnem, męskiem okiem na przemiany zainteresowań, na rozwój fizyczny i psychologiczny swego syna. Bierze dyskretny udział w tych metamorfozach, obserwując jednak dzieje tej najdroższej duszy z wielkim pietyzmem. Pamięta przyjaciół swego syna. Wie, który chłopiec jest lubiany przez Adasia. Wie, jakie stosunki łączą Adasia ze szkołą. Raduje się każdą jego inwencją. Widać, że żyje radością i smutkiem tego chłopca. Wspominając, wylicza nawet drobne wydarzenia z ich wzajemnego współżycia, opartego na miłości i ufności. Gdy przychodzi straszna niszcząca choroba — uwaga Stefana Żeromskiego zaostrza się jeszcze bardziej i wyczula na rzeczy, dotyczące jedynaka. Za każdą przysługę spełnioną dla Adasia jest wdzięczny ludziom dobrej woli. Ostatnie stronice tej książeczki w prostocie, powadze i skupieniu sięgają tragedji. Wstrząsają i budzą głębokie współczucie dla ojca, stojącego u wezgłowia konającego syna.

Mistrzostwo pracy Stefana Żeromskiego i w tej książce jest nie do naśladowania. Zdanie za zdaniem układa się w jasne, świetne okresy. Dojrzałość środków artystycznych nawet w tak osobistym utworze utrzymuje pióro Stefana Żeromskiego na wodzy. Tylko to, co jest nieodzowne do wypowiedzenia jego bólu — pozostaje do dyspozycji czytelnika. Wielka to sztuka — taka umiejętność pisania. Książeczka ta przypomina, jak wielkiej miary prozaika straciła nasza literatura.

WIELCY I MALI

Wspomnienia wojenne p. Zofji Kossak-Szczuckiej obiegły szeroko po Polsce. Obecnie szykuje się już czwarte wydanie jej książki p. t. „Pożoga". Miło jest podkreślić, iż książka ta nie jest unikatem. Okazuje się, iż solidne podstawy kulturalne, zdobyte przez tę kresową panią, mogą współzawodniczyć z powodzeniem z literaturą i to nie byle jaką, bo na studjach historycznych opartą. Już utwór p. t. „Beatum Scelus" wskazywał na rzetelne oczytanie i smak artystyczny Zofji Kossak-Szczuckiej. Obecnie wydany tom jej opowiadań o motywach śląskich, historycznych p. t. „Wielcy i mali" utwierdza w przekonaniu co do wysokich literackich kwalifikacji jej pióra. Umiała ona plastycznie odtworzyć czasy „Lisowczyków" na Śląsku Cieszyńskim. Zręcznie odnalazła motywy psychologiczne w tym zbiorowisku ludzkiem. Namalowała kilka pięknych figur. Ksiądz Wojciech Gagałkowski, jak i ostatnia Piastówna na tronie cieszyńskim należą do literackich zdobyczy jej kulturalnego pióra. Sceny z lisowczykami, batalja przeciw Brantowi, przemówienia przed obliczem Habsburskiem — oto sceny, skreślone z prawdziwym artyzmem. Opowiadania p. Zofji Kossak-Szczuckiej kulturalnemu czytelnikowi dostarczają wiele trwałych, pięknych emocji. Trzeba mieć podziw dla jej artyzmu.

ZAPOMNIANY BELETRYSTA

Jako dziwny objaw naszej domniemanej kultury literackiej należy zanotować fakt, że beletryści starszej generacji nie są wcale u nas czytani. Kto z nowego powojennego pokolenia czyta powieści Kaczkowskiego? Nowych wydań jego książek już dawno nie było. Kto teraz bawi się lekturą Klemensa Junoszy Szaniawskiego? Autor ten jest obecnie zupełnie zapomniany. Beletrystyka Sewera i starszych leży w szatach wymierających ludzi. Warto jednak przypomnieć tych pisarzy nowej generacji czytelników. Z podręczników szkolnych dowiaduje się o humorze Klemensa Junoszy, co nie daje zupełnie pojęcia o tkliwej, serdecznej obserwacji życia przez tego pisarza. Stać go było nawet na akordy głębsze. Kto pamięta jego opowiadanie pt. „Froim", ten wie, iż autor ten umiał sięgać w duszę ludzką głęboko i wydostawać z niej perły humanitaryzmu. Nie zapominajmy, iż opowiadanie to mówi o żydzie oberżyście. Jakże piękną jest jego nowela pt. „Łaciarz"! Zachwycała ona naszych dziadów i ojców. Napewno zaciekawi i nową generację czytelników! Trzeba jednak, by ktoś się zajął utrzymaniem ciągłości w zainteresowaniach naszych beletrystycznych. Tylko tego rodzaju stosunek do twórczości świadczy o kulturze.

Sztuka starzenia się

Znany pisarz francuski, członek Akademji, Henryk Lavedan poświęcił ostatnią swą książeczkę zagadnieniu starości. Pani Tremière, żona emerytowanego dyplomaty, skończyła 60 lat. Zrozumiała, że starość puka do jej drzwi. Postanowiła zbadać bliżej charakter nieuniknionego gościa, zaprosiła grono przyjaciół do pomocy i przez trzy niedziele z rzędu w zacisznym salonie w Neuilly dyskutowano na ten temat z wielkiem ożywieniem. Pierwszej niedzieli roztrząsano pytanie, jak należy nazywać ten okres, który jest schyłkiem życia ludzkiego. Drugiej — jak określić starość. Trzeciej wreszcie — jakiemi drogami szukać porozumienia ze starością, dostosowania się do jej wymagań. Albowiem — można się godzić ze starością, można także usiłować ją zwalczać. P. Tremière, dyplomata, jest zdania, że trzeba przyjąć ją chętnie.

— Ona nie lubi czekać. I nic nie zyskamy, powstrzymując jej nadejście. Jest silniejsza od nas. Wywali drzwi w razie oporu. Tymczasem, jeśli, nie ociągając się, wyjdziemy naprzeciwko niej, okazuje się zazwyczaj względną.

Nie wszystkim uczestnikom dyskusji podobały się te dyplomatyczne ogólniki.

— Zatem albo poddać się, albo bronić do upadłego?

— Ani jedno, ani drugie,—odpowiada p. Tremière. A raczej — i jedno i drugie. Raz — ustępstwo, drugi raz — opór. Stosownie do okoliczności i do własnych sił... Tam, gdzie nie można inaczej, rezygnacja. Gdzieindziej—uporczywe obstawanie przy prawach do życia.

To mówi mężczyzna. A kobiety?

Pani Lapurette, która skończyła 35 lat, jest zdania, że sztuczne odmładzanie twarzy jest szpetne i bezskuteczne. Kobieta — za życia — staje się zabalsamowoną mumją, martwą lalką Przestaje być sobą, zatraca swoisty wdzięk i powab.

— Wolę mieć policzki, jak szara reneta, zmarszczki pod oczami i białe włosy, — woła w zapale pani Lapurette.

Ale czy ten zapał nie opuści jej, gdy dosięgnie sześćdziesiątki?...

Na pytanie, co wówczas będzie robić, pani Lapurette odpowiada.

— Będę podróżowała.

Zaś pani Tremière:

— Będę siedziała w domu.

I dodaje, że w późniejszym wieku lepiej pokazywać się mało, żeby nie narażać się na obmowę. Mniej interesować się własnem życiem a więcej — życiem drogich osób. Dawać więcej, niż brać. Być jeszcze bardziej uprzejmą, dyskretną, uśmiechniętą, szlachetną, dobrą, uczynną...

P. Tremière idzie dalej... Twierdzi, że trzeba za życia już przekroczyć nieuniknioną granicę i rozpocząć żyć wspomnieniami młodości, w tych wspomnieniach odnaleźć utracony czar i radość...

Najlepiej jednak, — nie myśleć o starości, nie wiedzieć o niej. Tylko, że udaje się to — dość rzadko.

G.

Anegdoty

Franciszek Liszt, jako młodziutki chłopiec, przebywając na studjach w Wiedni, miał jedno marzenie: poznać Beethoven'a, który również mieszkał wówczas w stolicy państwa austrjackiego. Mistrz, który był wrogiem wszystkich cudownych dzieci, nie chciał wszakże słyszeć o przyjęciu genjalnego chłopca, któremu wszyscy muzycy przepowiadali wielką karjerę. Wkońcu jednak, na nieustanne i usilne prośby nauczyciela Liszta, Karola Czernyego, zdecydował się Beethoven przyjąć rzekomego genjusza. I zawiązała się między nimi taka pamiętna rozmowa:

„I cóż ty możesz zagrać, chłopcze?" pyta Beethoven. „Najchętniej gram utwory Bacha i pańskie". „Bacha i moje?... No, zagraj, posłucham". Liszt zasiadł do fortepianu i z całym spokojem zapytał: „Jaką fugę Bacha mam zagrać, i w jakiej tonacji?". „Chłopcze, oszalałeś chyba!" odparł Beethoven w gniewnem uniesieniu.

Słowa te nie zmieszały bynajmniej Liszta — odegrał z największą dokładnością fugę fis-moll, a gdy skończył, spostrzegł wyraz radosnego zdumienia na obliczu Beethovena, czem zachęcony, oświadczył: „Teraz zagram mój ulubiony utwór: pańskie nowe trio". „Co ty gadasz, chłopcze? A gdzie masz nuty, gdzie akompanjatorzy, skrzypek i wiolonczelista?"—oponował, nie bez rozdrażnienia, Beethoven. „Mistrzu, pozwól mi spróbować! Dodam sam akompanjament, tam, gdzie będzie potrzebny".

I Beethoven w zdumieniu, graniczącem z osłupieniem, słuchał —o ile wtedy jeszcze mógł słyszeć — do ostatniego tonu, a gdy przebrzmiał końcowy akord, zbliżył się do chłopca, objął go silnym uściskiem, złożył pocałunek na jego czole i rzekł: „Dosyć! zrozumiałeś mnie. Idź i spraw, żeby mnie inni zrozumieli".

* * *

Gdy Karol Marja v. Weber (1786 — 1826) ukończył partycję „Wolnego Strzelca", swojej najsławniejszej opery, przesłał ją Beethovenowi z prośbą o wyrażenie opinji. Beethoven partycję przeczytał i odesłał Weberowi z krótką radą, żeby więcej oper nie pisał. Weber, niemile tem dotknięty, przy pierwszem spotkaniu z mistrzem spytał, czy rzeczywiście uważa, że muzyka do „Wolnego strzelca" jest taka zła, że mu dał podobną radę? „Taka zła?"—odparł Beethoven, „Nie, przeciwnie, uważam, że jest taka dobra, iż drugiej takiej opery nie napiszesz".

* * *

Tristan Bernard miał przez długi czas służącego, który niejednokrotnie dawał mu powód do gniewu, ale rozbrajał go zawsze dowcipną odpowiedzią. Pewnego dnia, a było to na wsi, stłukł cylinder od lampy, zaś na uwagę Bernarda, że powinien obchodzić się delikatniej z takiemi kruchemi przedmiotami, służący odparł: „Przecież pan dobrze wie, że szkło od lampy pęka zawsze przy pierwszem zapalaniu".

Zapytany pewnego razu, jaka jest różnica między panem a jego służącym, Tristan Bernard odparł: „Obaj palą te same cygara, ale płaci je tylko jeden".

TO I TO

Do młodego autora (francuskiego), którego sztuka odniosła kolosalny sukces, zwraca się ktoś z następującym komplementem:

— Ale pana powodzenie nie zepsuło, jak wielu innych. Pan przynajmniej pozostał skromny.

„Skromny" autor z uśmiechem:

— Ale ile mnie to kosztuje.

* * *

Sąd pośmiertny:

Gdy była mowa o sfilmowaniu, Carmeny", reżyser zebrał wszystkich wykonawców, ażeby im wytłomaczyć swoją koncepcję słynnej noweli Prospera Merimée.

Raquel Meller, która miała interpretować Carmenę, nie podzielała zdania reżysera.

— Pani — rzekł reżyser — mówi ciągle o operze, a ja mam zamiar „kręcić" dzieło Prospera Merimée.

— To niech go pan tutaj sprowadzi. Niech on osądzi, kto z nas miał rację.

* * *

Mowa była o dyrektorze teatralnym, który nie cieszy się zbyt dobrą opinją.

— Był dla mnie bardzo miły — mówi jeden z autorów dramatycznych.

— Doprawdy?

— Nie wiem, jakie mu stawiacie zarzuty, ale sposób, w jaki ze mną potraktował te sprawy, był bardzo uczciwy...

Jeden z kolegów przerywa:

— ...Ostrożnie, nie rzucaj lekkomyślnych słów, które potem tak trudno odwołać.

* * *

Przed premjerą zgłasza się piękna pani do sekretarjatu teatralnego z następującem żądaniem:

— Proszę o „zaproszenie" na premjerę.

— Z jakiego tytułu?

— Zajmuję się reklamą.

— W jakiem piśmie?

— W żadnem piśmie, ale znacznie lepiej...

— ?....

— Reklamą mówioną.

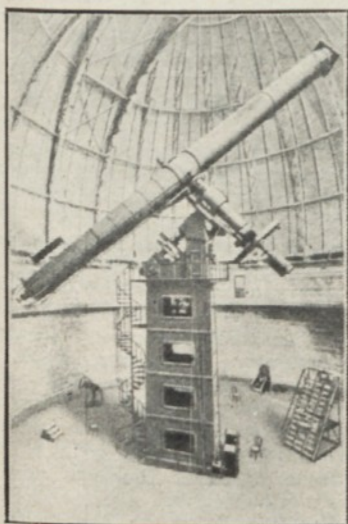
(h)

Budowa największego teleskopu na świecie

Prasa zagraniczna, nie wyłączając zawodowej, często zajmuje się teraz sprawą budowy największego teleskopu na świecie, jaki ma posiąść specjalnie w tym celu wzniesione obserwatorjum na południu Francji.

Ogromne koszty, związane z tą budową, pokrywa całkowicie p. Dina—arcymiljoner, który, będąc z pochodzenia rumunem, mimo to powziął szczęśliwą myśl ofiarowania swego cennego daru narodowi, dającemu najlepsze gwarancje należytego zużytkowania go, dzięki swemu genjuszowi i wspaniałemu polotowi galijskiego ducha.

Projektowana średnica, czyli otwór nowego teleskopu, ma wynosić aż 5 metrów, bijąc rekordową dotychczas średnicę instrumentu, ustawionego na górze Wilsona w Ameryce, t. j. dwa i pół metra.



Reflektor w obserwatorjum Yerkse'a

Jakkolwiek liczbowo ta różnica nie zdaje się uderzać wyobraźni, zobaczymy zaraz, że w budowie przyrządów astronomicznych jest to olbrzymi skok, tak olbrzymi, że aż wymaga zastosowania w danym wypadku odrębnej techniki.

Przedtem jednak należy w kilku słowach wyjaśnić, czem się tłumaczy naukowa potrzeba budowania coraz potężniejszych teleskopów, nie bacząc na ogromne koszty i trudy, związane z ich instalacją.

Teleskop jest tym przyrządem, który jeśli nie pozwolił nam odpowiedzieć na wszystkie pytania, związane z zagadką naszego bytu kosmicznego, to jednak określił nam naszą pozycję względną w bezmiarze wszechświata, pozwalając sięgnąć wzrokiem do tych przestrzeni, o których nawet rachunek wyraża się niejasno.

Ewolucja naszych pojęć o wszechświecie postępowała naprzód w znacznej zależności od doskonałości i mocy przyrządów astronomicznych, posiadanych w danej epoce. Skromna luneta Galileusza — pierwszy teleskop — wiąże się z przejściem w astronomji od pretensjonalnego systemu geometrycznego, który uważał ziemię za ośrodek naszego wszechświata, do obecnych naukowo uzasadnionych pojęć o układzie planetarnym.

Współczesny zaś teleskop zaprowadził nas dalej: na progi t. zw. „drogi mlecznej", leżącej już po za „naszym" wszechświatem, i jeszcze dalej — w przestrzenie „międzygalaktyczne", usiane owemi mgławicami, na których obecnie skoncentrowana jest uwaga astronomów, jako na przypuszczalnych zbiorowiskach innych „wszechświatów". Budowa i skład tych mgławic posiada wielkie znaczenie dla nauki, i z czasem może wypłynie stąd rozwiązanie zagadki o sposobie powstawania światów.

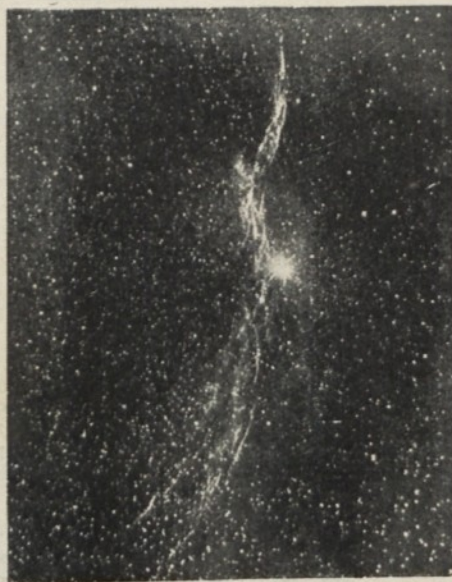
Teleskopy, używane obecnie, są dwuch typów: refraktory i reflektory. W pierwszych używają się soczewki wypukłe, i obraz ciała niebieskiego otrzymuje się przez załamanie promieni świetlnych.

W reflektorach stosuje się zwierciadła wklęsłe, o powierzchni parabolicznej, a odpowiedni obraz powstaje przez odbicie promieni w zwierciadle.

Używanie soczewek do wielkich teleskopów napotyka trudności wprost nie do przezwyciężenia, zjawiające się przy felerowaniu szkieł optycznych o dużej średnicy. Największą lunetą soczewkową, obecnie w użyciu, jest teleskop w obserwatorjum astronomicznem Yerks'a, w Chicago. Objektyw jej mierzy około 1 metra. Na wystawie paryskiej w 1900 roku była ustawiona podobna luneta z objektywem wynoszącym 125 centym. Przy tej średnicy długość jej musiała mierzyć aż 60 metrów, co ją czyniło nader niewygodną w użyciu, nie mówiąc już o innych jej brakach, z których najpoważniejszym było znaczne rozproszenie światła, nader szkodliwe dla wyrazistości obrazu.

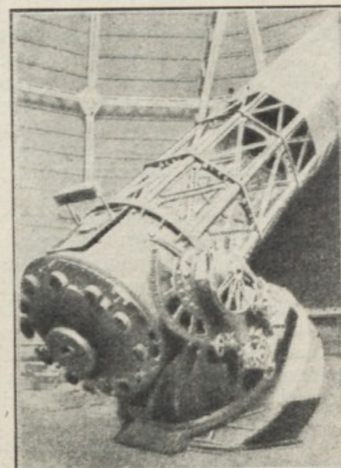
Zwierciadło wklęsłe zdaje się lepiej odpowiadać zadaniu, pochłaniając minimum światła i nie wymagając tak skomplikowanego mechanizmu.

W miarę zwiększania lustra, użytego do budowy teleskopu, wzrasta ilość światła, dostającego się doń, co pozwala znów, powiększając odległość ogniskową, otrzymywać większe obrazy. Księżyc, albo Mars, rozpatrywane przez taki silny teleskop, dadzą obrazy możliwie duże z zaznaczeniem detali.



Mgławica, zawierająca miljony gwiazd, niewidocznych dla gołego oka

Inaczej się rzecz przedstawia, skoro potężny teleskop zastosujemy do obserwacji gwiazdy. Obraz jej bynajmniej nie będzie powiększony, ale raczej sprecyzowany. Gwiazdy znajdują się od nas na tak zawrotnych odległościach, że trzeba liczyć od 10.000 do 100.000 lat, aby światło od nich mogło dojść do nas. Rozpatrywane gołem okiem, przedstawiają się jako punkciki świetlne i takiemi pozostają w najsilniejszych teleskopach. Przy zastosowaniu jednak ostatnich, świetlny punkcik staje się czystszym, wyraźniejszym, i często dwie gwiazdy, napozór stykające się, w polu silnego teleskopu rozdzielają się, aby ukazać między sobą nowe gwiazdy, dotychczas nieznane. Rolą zatem wielkiego teleskopu przy obserwacji gwiazd jest raczej separowanie ich.



Teleskop na górze Wilsona

Łatwo zrozumieć, jakie znaczenie może posiadać to w zastosowaniu do mgławic. Twory te, w wielu wypadkach przedstawiające skupienia miljonów gwiazd, mogą być obserwowane w różnych okresach swej ewolucji, co, jak zaznaczyliśmy, jest dla nauki kwestją pierwszorzędnej wagi i co samo już mogłoby wytłomaczyć dążność do budowania potężnych teleskopów.

Ale tutaj natrafiamy na trudności tak poważne, że przy dalszem powiększaniu wymiarów zwierciadeł teleskopowych należy pomyśleć o zmianie dotychczasowej ich konstrukcji.

Już budowa wielkiego zwierciadła o otworze 2,5 metra dla obserwatorjum na górze Wilsona natknęła się na cały szereg szkopułów, które zostały pokonane dzięki tylko mrówczej pracy, wielkim wysiłkom i artyzmowi wykonawcy, p. Ritchey.

On również ma powierzone zbudowanie zwierciadła dla największego teleskopu, jaki powstanie wkrótce, o którym mowa na początku niniejszego artykułu.

Wytrawny ten konstruktor i, powiedzmy, artysta w swoim rodzaju, uznał za niemożliwe przygotowanie zwierciadło o otworze 5 metrów zwykłemi, dotychczas stosowanemi sposobami. Odlanie bowiem jednolitego bloku szklanego, o ciężarze kilku ton, nadanie mu po-

tem matematycznie ścisłej powierzchni parobolicznej i wreszcie umieszczenie takiego kolosa w lunecie — przekracza, krótko mówiąc, możliwości sił ludzkich. Przypuściwszy nawet, że takie dzieło kunsztu zostałoby stworzone, to należałoby się obawiać bardzo niepożądanych następstw przy zastosowaniu podobnego zwierciadła do obserwacji nieba, ze względu na deformacje, zachodzące w tak wielkiej masie szkła, spowodowane zmianami temperatury, i na związane z tem zniekształcenie obrazów.

Dlatego też w Obserwatorjum paryskiem, gdzie są skoncentrowane prace przygotowawcze do wielkiej budowy, czynione są próby z zastosowaniem zgoła nowej techniki konstrukcyjnej.

Polega ona na tem, iż zwierciadło jest wykonane ze zwykłego szkła grubości tylko kilku centymetrów i odpowiednio oszlifowane. Szkło to spoczywa na szeregu podkładek również szklanych, przyklejonych do jego tylnej strony. Wreszcie wszystko razem przyklejone jest do innej płyty szklanej, służącej za podstawę. Dzięki szklanym podkładkom, zachowane jest swobodne krążenie powietrza pod całem zwierciadłem, a zatem zabezpieczona równość temperatury w różnych jego miejscach, dająca gwarancję stałości powierzchni parabolicznej.

Całość następnie, umieszczona na szkielecie metalowym, jest umiejętnie zrównoważona za pomocą odpowiednich przeciwwag, uwzględniających różne pozycje zwierciadła podczas obserwacji.

Zwierciadła tego systemu były zbudowane na próbę w mniejszej skali, dając naogół dobre rezultaty. Obecnie czynione są próby ze zwierciadłem o otworze półtora metra.

Nie należy wątpić, że technika współczesna, poparta obfitemi środkami pieniężnemi, wskaże właściwą drogę do urzeczywistnienia projektu, którego celem jest uchylenie zasłony, kryjącej tajemnice bytu.

Inż. Z. Kacprowski

Z literatury amerykańskiej

Women by Booth Tarkington. Książki, która już w pierwszych miesiącach po ukazaniu się doczekała się licznych wydań w Ameryce i w Anglji, którą natychmiast dla swego kontynentalnego wydania nabyła lipska firma Tuachnitza, nie można nazwać ani powieścią ani szkicami ani studjum. Są to luźnie ze sobą powiązane opisy wewnętrznych przeżyć kobiet amerykańskich. Mr. Targington nie rozdziera szat nad współczesną Amerykanką na wzór innych pisarzy, nie gorszy się jej zachowaniem, jej żądzą zabawy i rozrywek. Nie! z całą bezstronnością, z całkiem leciuchną i nieszkodliwą przymieszką ironji, zapoznaje nas z mieszkankami eleganckiej dzielnicy któregoś z miast Ameryki. Wszystkie te niewiasty, matrony i młode mężatki, podlotki, panny na wydaniu i starzejące się panny należą do jednego i tego samego, „smart set". Niema między doskonałemi portretami ani jednej kobiety pracującej, ani jednej kobiety z gminu ani też z najwyższych dziesięciu tysięcy plutokracji amerykańskiej. Jest uśmiechnięta, swobodna, zamożna mieszczanka, której życie zdaje się składać z pięknych salonów, futer i biżuterji, której dzień upływa na prowadzeniu domu, na literackich wieczorach w klubie, na dancingach w klubie i na graniu golfa w klubie.

Dwie poważne członkinie tego literackiego klubu, Mrs Cromwell i Mrs Dodge, na wstępnych stronach książki dyskutują o tem, jaką powinna być książka o kobietach. Energiczna Mrs Dodge zbija zdanie Mrs Cromwell, że książka taka powinna mieć bohaterkę, wkoło której centralizuje się konflikt albo dramat i, wokoło której grupują się mniej lub więcej plastycznie inne charaktery. Nie, powiada Mrs Dodge, życie nasze składa się przeważnie z myśli i czynów w związku z naszymi dziećmi i naszymi sąsiadami oraz ludźmi, którzy przypadkowo zjawiają się i znów przypadkowo znikają z naszego, naszych dzieci i naszych sąsiadów życia. Książka o nas powinna się zajmować tymi wszystkimi, zarówno jak nami samymi.

„Nie mówisz pani o mężach"—wtrąciła pani Cromwell, „czyżby oni..."—„I oni powinni być objęci książką",—przyznała p. Dodge. Ale zarówno mężowie, jak i ci, którzy chcą nimi zostać, na kartkach książki powinni zajmować tylko tyle miejsca, ile go zabierają w naszych myślach i uczynkach.

„I jeszcze jeden warunek",—dorzuciła Mrs Dodge, z trochę ostrym uśmiechem—„Niech książka o kobietach będzie krótka, niech pod płaszczykiem zwięzłości autor ukryje nieświadomość niektórych stron naszego charakteru; tem zasłuży sobie najbardziej na nasze pobłażanie, będzie to jego najlepszem usprawiedliwieniem".

Więc poddaje się warunkom Mrs Dodge z pokorą Booth Tarkington i książka jego jest rzeczywiście krótką, ale choć brak w niej napięcia intryg i dramatycznych powikłań, zajmuje, fascynuje, a przytem poucza. Typy jego nie są wyłącznie amerykańskie. Taką samą dobroduszną Mrs. Cromwell, taką samą surową dla bliźnich Mrs Dodge spotkać można i w miastach europejskich. I znajomemi nam się wydają i kochliwe podlotki, i starzejące się, na cudzych mężów polujące panny, i reklamująca wiecznie swego męża Mrs Battle. Nie obcą wydaje się nam świątobliwa pani Braithwaite, chodząca z głową zadartą do góry, by zaznaczyć swoją bliskość nieba a oddalenie od ziemi, flirtująca z szoferem i wiodąca za sobą jak psa na sznureczku, posłusznego i niepozornego męża. Wszystkie te postacie przeszczepić by można z małemi zmianami na grunt europejski, tylko życie ich mniej gładko by wtedy płynęło, mniej by w niem było rozkoszy beztroski, więcej prawdziwych a mniej urojonych zmartwień. Książkę „Women" można polecić każdemu, kto chce dzień na miłej spędzić lekturze. Pomimo domieszki ironji, pozostaje po niej wrażenie przyjemne i odświeżające, wywołujące nadzieję, że młody autor wkrótce inną obdarzy nas opowieścią.

• • •



Revelry by Samuel Hopkins. Wciąganie współczesnych zdarzeń politycznych do literatury wchodzi teraz w modę. Żywi i umarli politycy stają się bohaterami powieści. Ale nie często zdarza się, by pisarz tak i jak autor „Revelry" miał odwagę pod bardzo przejrzystą osłoną opowiadania odsłonić skandale i korupcję za kulisami polityki prawie że dzisiejszej. W książce swojej Hopkins pisze o zepsuciu, jakie za czasów zmarłego prezydenta Hardinga panowało w administracji amerykańskiej, pisze o skandalu naftowym, o samobójstwie Jess Smitha, przyjaciela serdecznego dawnego jeneralnego prokuratora Duagherty, pisze o wszystkich sprawkach tak zwanego Ohio gang. Pod postacią prezydenta Markhama łatwo poznać Hardinga, tak jak bez wahania każdy pozna Coolidge'a w wiceprezydencie Elliocie. Dlaczego, powiada jedna z osób książki, wybrano prezydentem Markhama? Bo po Roosevelcie i Wilsonie potrzeba było osobistości bardziej giętkiej, a taką pomimo, że, nie wziąłby centa dla siebie, jest obecny prezydent. W książce spotykamy się po raz pierwszy z Markhamem przy partji pokera, w której rej wodzi Dan Lurcock, przebiegły i chytry polityk, rozdzielający synekury, pobierający łapówki od przemytników, i zręcznie starający się o usunięcie tych, którzy milczeć nie umieją. Andy Gandy, minister zdrowia, jest opisanym, jako człowiek, który strzyże uszyma, jak tylko poczuje pieniądze.

Willis Markham, naiwny, miły i ludzki, spostrzegłszy, że jest narzędziem w rękach ludzi niesumiennych, zażywa truciznę i umiera w oczach przyjaciół. W rzędzie tych, którzy odwiedzają umierającego, zjawia się i wiceprezydent:

„I przyszedł wkońcu, mający niebawem zostać prezydentem, wiceprezydent... i patrząc niezbadanym wzrokiem swych rybich oczu na umierającego, zapewnił go, że polityka jego nie ulegnie zmianie. Wiceprezydent nie wiedział, jaką była polityka Markhama, nie wiedział tego i sam Markham. Ani też nikt inny. „Gloria męczeństwa rzucała swe upiększające promienie na wszystkich drogich i bliskich Markhamowi. Naród płakał".

Książka Hopkinsa jest sensacją dnia, wywołała w niektórych kołach oburzenie, w innych zadowolenie. Krytycy zwą ją dynamitem, inni trąbą, mającą zbudzić śpiący naród.

S. G.

DOM — PIRAMIDA

(Rewolucja w architekturze)



Nowy monumentalny gmach w Paryżu, pomysłu architekta Sauvage'a, zbudowany w kształt piramidy

Od dawna już architektura naszych miast, zwłaszcza wielkich środowisk ludzkich, wymagała reformy. W pierwszym rzędzie przemawiały za tem względy hygieny. Stłoczone na wąskich ulicach, pozbawione nieraz całkowicie dobroczynnego działania słońca i powietrza, mieszkania nie były terenem, gdzie człowiek mógł rodzić się zdrowy i żyć w zdrowiu. Wprawdzie zarządy miast usiłowały złagodzić zło, przeprowadzając regulacje ulic, rozszerzając je w miarę możności, ograniczając wysokość gmachów, aby nawzajem nie rabowały sobie światła, ale wszystko to były tylko tymczasowe środki zaradcze, środki częściowo leczące, nie zaś radykalne lekarstwo.

Ze zrozumienia tych hygienicznych błędów wielkich miast zrodziła się w następstwie idea miast-ogrodów. Niemal w każdem większem mieście powstały takie dzielnice i dzisiaj rozwijają się w dalszym ciągu. Przykładem są choćby rozmaite kolonie w Warszawie, duże hygienicznie stworzone osady na Żoliborzu czy gdzieindziej. Ale i ta droga nie była jeszcze radykalnem rozwiązaniem problemu. Miasta-ogrody z konieczności muszą być odległe od centrum, domki czy wille są bądź co bądź bardzo jeszcze kosztowne i dlatego dostępne tylko dla wybrańców losu, wreszcie trudno wyobrazić sobie wielkie środowisko, wyłącznie w ten sposób stworzone, gdyż musiałoby ono zająć wprost niesłychaną przestrzeń. Miljonowe miasto-ogród przestałoby być miastem.

Na nową drogę rozwiązania problemu mieszkalnego w myśl zasad hygieny wszedł ostatnio Paryż, a pomysł architekty francuskiego H. Sauvage'a może snadnie stać się zaczątkiem wielkiego przewrotu w budowie miast. Domy piramidy, domy terasy — oto, jak możnaby krótko określić nowy pomysł. Ponieważ głównem złem ulic miejskich jest to, że wielopiętrowe domy, wznoszące się naprzeciwko siebie, rabują sobie nawzajem światło i powietrze, ponieważ podwórza ich obudowane szczelnie oficynami zmieniają się nieraz w jakieś potworne, ciemne szyby górnicze, więc logicznie nasuwał się wniosek, że z jednej strony należy zerwać z systemem oficynowo-podwórzowym, z drugiej zaś należy w miarę wzrostu przeciwległych domów oddalać od siebie ich szczyty, aby umożliwić swobodniejszy dostęp światła i powietrza. Forma piramidalna była niewątpliwie najlepszem rozwiązaniem problemu.

Taki gmach piramidalny obmyślił już dość dawno architekt H. Sauvage i opracował szczegółowe plany. Przeznaczał go na dom robotniczy, jaki zamierzała wznieść gmina w Paryżu. Przez kilka lat trwała walka o ideę, architekt paryski znalazł w niej dzielnego pomocnika, radnego municypalnego p. Dherbécourt. Zapadła wreszcie odnośna uchwała gminy, przystąpiono do budowy, a niedawno dom został oddany do użytku mieszkańców.

Ogromny gmach, zbudowany wedle planów Sauvage'a, wznosi się na rogu trzech ulic: Des Amiraux, Hermann Lachapelle i rue Nouvelle. Boki dłuższe mierzą po 60 mtr. z górą, bok wąski 25 mtr. Ma on wysokość siedmiu pięter, każde zaś piętro wznosi się na cofającej się kolejno w głąb terasie. Zasadnicza konstrukcja prostopadłych słupów i poprzecznych belek jest zbudowana z żelazo-betonu, wnętrze tej ramy wypełniają inne materjały budowlane, więc cegły, gips i t. p. Piwnice, magazyny i t. p. znajdują się nie pod poziomem ulicy, jak zazwyczaj, ale są rozmieszczone zwłaszcza na wysokości trzeciego i czwartego piętra, wewnątrz gmachu, tam, gdzie światło słoneczne nie dochodzi. Wygodne klatki schodowe i windy, umieszczone w specjalnych bocznych występach, ułatwiają dojście na każde piętro.

Każde mieszkanie składa się z dwóch lub trzech pokoi w amfiladzie, których drzwi wychodzą do przedpokoju. Ogrzewanie jest centralne indywidualne, to znaczy, że każde mieszkanie posiada tylko jeden piec, którego ciepło przy pomocy odpowiednich urządzeń można rozprowadzać po przyległych pokojach. Spiżarnie i bieliźniarki mieszczą się w ścianach. Ponieważ piwnice, jak wspomniano, znajdują się mniejwięcej w połowie wysokości domu, więc wszyscy mieszkańcy mają do nich wygodny dostęp. Śmieci i odpadki wrzuca się do hermetycznie zamykającego się leja, skąd kanałami spadają do wózków, umieszczonych w podziemiu.

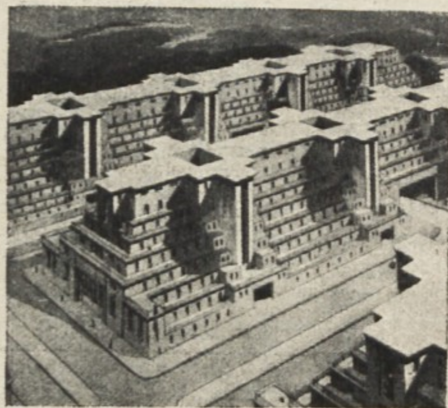
Główną nowością są terasy, biegnące wzdłuż każdego mieszkania. Są one skonstruowane w ten sposób, że z piętra na piętro zaglądać na nie nie można (dzięki odpowiednio umieszczonym występom). Wobec tego lokator jest zupełnie nie skrępowany na swej terasie, w ciągu kilku ciepłych miesięcy roku może tu jeść, wypoczywać, oddawać się ćwiczeniom gimnastycznym, a nawet urządzać sobie słoneczne kąpiele, nie obawiając się niedyskretnych spojrzeń sąsiadów. Tutaj też mogą się bawić dzieci w pełnem świetle i powietrzu, pozostając stale pod okiem rodziców, uchronione przed wszystkiemi fizycznemi i moralnemi niebezpieczeństwami ulicy.

Bardzo pomysłowo wyzyskał Sauvage sam środek terenu, więc miejsce, gdzie w domu współczesnym znajduje się zazwyczaj podwórze. Stworzył on tutaj ogromny basen kąpielowy, długości 33 metr., a średniej szerokości 12 mtr., który służyć ma zarówno lokatorom domu, jak i innym okolicznym mieszkańcom.

Ceny mieszkań w tym robotniczym raju są niesłychanie niskie. Mieszkanie, złożone z dwóch pokoi i kuchni, wraz z wszystkiemi świadczeniami, gazem, elektrycznością i wodą, kosztuje miesięcznie 99 franków, mieszkanie trzechpokojowe 117 franków. Rodziny robotnicze, obdarzone większą liczbą potomstwa, mogą jeszcze nawet z tej ceny otrzymać pewne ulgi.

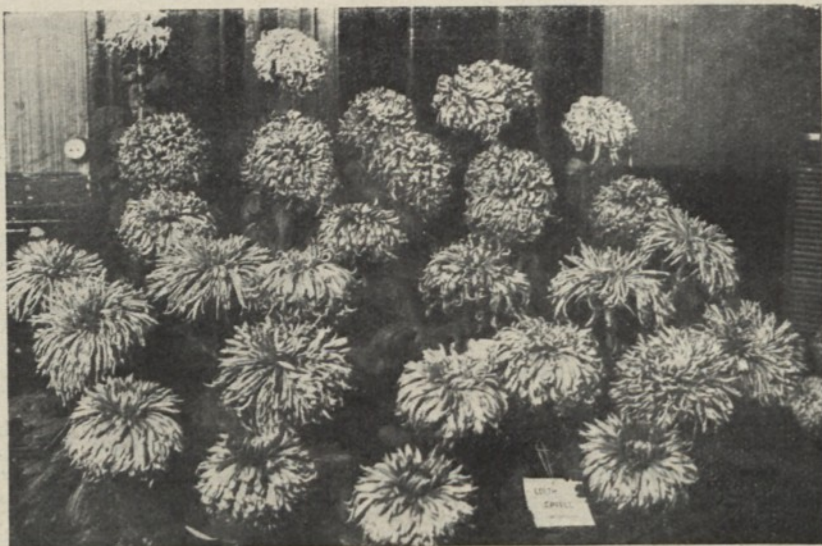
Zrealizowawszy szczęśliwie swój plan, p. Sauvage nie zamierza bynajmniej rezygnować z dalszego działania. Marzy on o całych miastach piramid w ten sposób zbudowanych. Ponieważ domy jego mają być produkowane fabrycznie, a następnie składane z gotowych już części, przewiduje, że dzięki temu uda się uzyskać oszczędność aż do 40 procent obecnych kosztów budowy. W dalszych swych konstrukcjach zamierza na wielką skalę zastosować prasowaną słomę i masę korkową w osłonie ze stalowej blachy, co również przyczyniłoby się do obniżenia kosztów budowy, a jednocześnie ogromnie przyspieszałoby jej dokonanie. Nowością, którą bardzo gorąco propaguje, jest system elektrycznego ogrzewania przy pomocy akumulatorów, któreby wyzyskiwały energję elektryczną, marnującą się dzisiaj w nocnych godzinach. P. Sauvage spodziewa się również, że przykład jego znajdzie naśladowców poza granicami Francji i przybliży tę szczęśliwą przyszłość, kiedy nawet ubodzy ludzie będą mogli korzystać w pełni z powietrza i słońca, krzepiąc się zdrowiem na ciele i na duchu.

St. I.



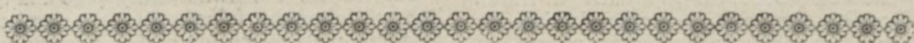
Miasto przyszłości — jak je sobie wyobraża architekt Sauvage

ECHA WYSTAWY KWIATOWEJ W WARSZAWIE W BAGATELI 12—15 LISTOPADA 1926 r.



Wśród morza kwiatów, któremi obficie była obesłana wystawa — uwagę na siebie zwracały złocienie w tonach morelowo-pomarańczowo-łososiowych najprzedniejszych odmian z kwiatami o średnicy 30—36 ctm. hodowli amatorskiej inżyniera Maurycego Szmidta, znanego w kołach ogrodniczych miłośnika

Fot. Marjan Fuks



W zawrotnym tańcu

Charleston, Branle i Black bottom

„Sala stłoczona. Dyszące łona,
Nagie ramiona, wśród fraków tła;
Tańczą skłębieni w ciasnej przestrzeni,
Szampan się pieni. Muzyka gra"

(BOY)

Dancing, ogłuszający hałas Jazz bandu, muzykanci walą w bębny, dmą w saksofony, bębnią w fortepian, pochylając się sami, jak gdyby w jakimś konwulsyjnym tańcu. Od czasu do czasu wydają dzikie okrzyki, którym przytupując wtóruje sala. Wśród stolików tańczą pary. Rozmaicie. Z gracją, dystynkcją i precyzją, z zapałem, rozmachem i namiętnością, śmiesznie, groteskowo, lub lubieżnie, prawie bachicznie. Przyglądają im się ciekawie widzowie z prowincji, amatorzy nocnych rozrywek, żądni wrażeń mieszkańcy miasta. Spotkać tu można zawsze znajomych. Charleston to namiętność dzisiejszego dnia. Nowość? Taniec murzyński? Łamańce nie chrześcijańskie.

Śmiejmy się z tego. 350 lat temu tańczono Charlestona na dworze jej chrześcijańskiej i bardzo pobożnej królewskiej mości królowej Katarzyny Medycejskiej.

Dawno już we Francji znano tańce towarzyskie i dawno byli zapaleni ich zwolennicy. Kardynał Richelieu, przybrany w zielone dworskie spodnie, naszyte dzwonkami, tańczył przed królową Anną austryjacką sarabandę i przydzwaniał sobie w tańcu kastagnetami. Tańczono poważną Chaconne i wesołe Guigue, Sicilienne i Musette. Sully, przyjaciel Henryka z Nawarry, w wieku podeszłym uprzyjemniał sobie wieczory, tańcząc solo, urozmaicone podrygami i skokami własnego pomysłu. Ale już wiele lat przedtem, dwór, a z nim cała Francja, tańczyli „branle", który nie był niczem innem, jak tylko dzisiejszym Charlestonem. Tańczyła go tak pięknie, tak ponętnie urocza córka królowej Katarzyny, Margareta de Valois, że Don Juan d'Austrja, nie bacząc na naprężone między Francją a swoją ojczyzną stosunki, jednej nocy osiodłał konia i pognał w mgle i zimnie, z Brukseli do Paryża, by ujrzeć tańczącą królewnę. Jeżeli mamy jakieś wątpliwości co do identyczności Branle z Charlestonem, posłuchajmy, co pisze uczony a pobożny kronikarz, kanonik z Langrey, Thoinet Arbeau. W kronikach jego z roku 1589 czytamy: „Branlé, ten prześliczny taniec ludowy, polega na kołysaniu ciała na jednej nodze. Drugą nogę podnosi tańczący w tył, poruszając nią równocześnie. Poczem następuje zmiana pozycji, tancerz staje na palcach, noga uderza o nogę, obcasy zwraca się na lewo, potem na prawo, znów łączy się je, teraz wyrzucając drugą nogę w bok, tak jak do kopnięcia.

Z opisów figur zwanych branle podwójną, gaskońską lub burgundzką, poznajemy najrozmaitsze typy i ruchy Charlestona. Tylko, że dziś w orkiestrze miejsce fletu i kobzy zajmuje saksofon. Ale tak jak widzowie na dancingu, tak na dworze w Luwrze przytupywała i przyśpiewywała do tańca nietylko sama królowa, ale i cały dwór i sam kardynał de Bourbon.

Uciekający przed prześladowaniami religijnemi emigranci francuscy przywieźli ze sobą do Kanady i Ameryki ten taniec, który dzisiaj powrócił do nas z miasta Charleston, od którego wziął swoją nazwę. W mieście tem żyją jeszcze potomkowie emigrantów francuskich. Zresztą Branle jako Brawl znany był później w Anglji, a tańczono go i w Niderlandach.

Złudzenie o pochodzeniu murzyńskiem Charlestona jest już rozwiane, a kto wie, czy to nie będzie jego zgubą, bo od czasów Cake-walka narody cywilizowane łakną ekscentrycznych i dzikich tańców i muzyki murzyńskiej. Tańcem mającem wyprzeć Charlestona z salonów, dancingów, barów i klubów nocnych ma być „Black Bottom" (Czarne dno).

Tam, gdzie nad brzegiem Mississipi, błoto uschło w zdatne do tańca klepisko, przy dzikich dźwiękach bębnów, piszczałek i kotłów tańczą murzyni, przyśpiewując:

„Take Your foot out of the mud and stick it in the sand".

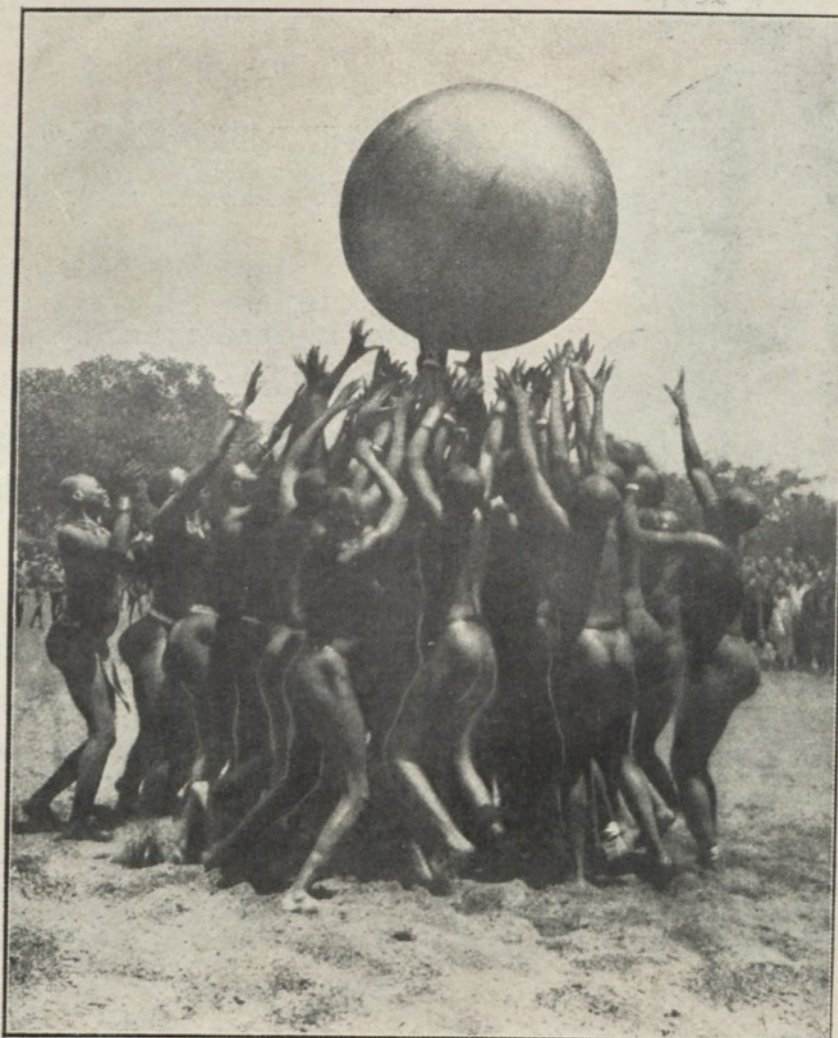
Wyjm nogę z błota i wsadź ją w piasek.

Tańczą Black Bottom, który już jest „la rage" Nowego Jorku, a wkrótce ma być i namiętnością Europy. Bo rytm jego porywa, a dziś nie „pas", ale rytm decyduje o popularności tańca. Więc wszystko jedno, czy przyjdzie do nas w naturalnych, od murzynów zapożyczonych łamańcach, czy w dystyngowanych, przez cywilizowanych mistrzów tańca przystosowanych formach. „Black Bottom", gdy zawita do Europy, nie ominie niezawodnie i Warszawy.

St. G.



JAK FRANCUZI ROZWIJAJĄ ZAMIŁOWANIE DO SPORTÓW WŚRÓD MURZYNÓW W SWOICH KOLONJACH



Mecz piłkarski wśród kobiet murzyńskich szczepu Ukangi. Na zawodach był obecny znany pisarz francuski Andrzej Gide. Wręczył on nagrody zwycięskim zespołom.



Negrowie, szczepu Uhangi z nad rzeki Chari, również z pasją uprawiają piłkarstwo. Mecz na koniach

Notatki literackie

ZGON ZNAKOMITEGO POETY NIEMIECKIEGO

Poezja Rainera Marji Rielkego była kaplicą wzniosłego kultu dla wartości duchowych, w Niemczech niebardzo szanowanych, bo szukających oparcia w człowieczeństwie, wyjarzmionem z egoizmów, wojen i przesądów. Miłość przyświecała wzruszeniom artystycznym i koncepcjom moralnym twórcy „Księgi Obrazów". Urodził się R. M. Rielke w Pradze Czeskiej. Wiele lat spędził w Rosji i Francji. Jako język ojczysty uznał niemiecki, tworzył jednak i po francusku. Dużo rozgłosu zdobyła jego książka pt. „Na nutę miłowania, jako i śmierci korneta Rielke". Monografja o znakomitym rzeźbiarzu francuskim A. Rodinie została przełożona na język polski. Wiersze jego tłomaczyli Witold Hulewicz i Z. Rabska.

Liryka tego poety przesycona była uczuciami religijnemi „Godzinki" Rielkego zyskały rozgłos dzięki właśnie realizacjom tych stanów uczuciowych. Zmarł on w 29 Grudnia r. z. w Montreux, w Szwajcarji.

NAJWAŻNIEJSZE WYPADKI MINIONEGO TYGODNIA

SEJM i RZĄD

Budżet państwowy na r. 1927 rozpatruje Sejmowa Komisja budżetowa w trzeciem czytaniu. Największe zainteresowanie budzą kredyty inwestycyjne dla wojska.

W sprawie przyszłej ustawy prasowej postanowił rząd zasięgnąć opinji Związku syndykatów dziennikarskich, które niewątpliwie bronić będą tylko wolności prasy lecz nie swawoli.

Rokowania o pożyczki inwestycyjne dla Polski są prowadzone z zagranicznymi finansistami. Mają posłużyć na elektryfikację Polski i na budowę kolei z Bydgoszczy do Gdyni.

Sądy doraźne na całym terenie państwa z wyjątkiem powiatów centralnych przedłużono na dalsze sześć miesięcy. Plaga bandytyzmu nie znikła jeszcze całkowicie.

SPRAWY POLSKIE

Umowa zbiorowa w rolnictwie została podpisana przez Związek ziemian i Związek robotników rolnych. Nowy rok rozpoczyna się pomyślnie zgodną współpracą.

W obronie d-ra Lukaschka wystąpiła prasa niemiecka. Czyżby to potwierdzało przysłowie o nożycach, które się odzywają?

P. Calonder, prezes mieszanej komisji w Katowicach, nie wiedział nic o szpiegowskiej aferze, i zajmuje w całej sprawie bardzo poprawne stanowisko.

Gdańskowi życzył van Hamel na Nowy Rok harmonijnego pożycia z zagranicą a zwłaszcza z Polską. Nacjonaliści zapewne niezbyt mile powitali te życzenia.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Przesilenie niemieckie stanęło na martwym punkcie. Próby uzyskania poparcia centrum dla koalicji małej prawicy zawiodły. Oficjalne rokowania z partjami rozpoczynają się dnia 10 b. m.

Rząd Waldemarasa rozstrzelał kilku komunistów, co niesłychanie zaostrzyło jego stosunki z Bolszewją. Zaś wydalenie 3 niemieckich dziennikarzy z Kłajpedy ochłodziło nieco sympatje Niemiec dla Kowna.

Ministrowie państw bałtyckich zjechali się w Tallinie, aby naradzić się nad sprawami bieżącej polityki, a w szczególności w sprawie traktatu z Rosją o nieagresji.

Traktat arbitrażowy niemiecko - włoski podpisano w Rzymie. Ma on być kontynuowaniem polityki z Locarna i jest raczej umową prawną, niż polityczną.

Nowy gabinet jugosłowiański pod prezesurą Usunowicza składa się z radykałów i horwatów. Dwie teki zarezerwowano dla słoweńców.

Zamęt w Chinach rośnie. Dyplomacja światowa nie wie, czy traktować z rządem pekińskim czy kantońskim i dlatego trwa rozważnie w obserwacyjnem wyczekiwaniu.

W Nikaragui wybuchła wojna domowa. Z powodu interwencji floty Stanów Zjednoczonych zarysowywuje się nowy konflikt z Meksykiem.

Książki nadesłane do redakcji

M. Romeyko. Koleje a wojna lotniczo-gazowa. Poznań.

Generał Herz. Artylerja. Przełożył z francuskiego Włodzimierz Onacewicz. War-szawa 1926. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy.

Christine Frederick. Naukowa organizacja w gospodarstwie domowem. Tłom. M. Romanowa. Warszawa 1926.



W jaki sposób uczynić każdy posiłek rozkoszą!

W myśl twierdzenia słynnego lekarza nie należy żyć, aby jeść, lecz odżywiać się, aby módz należycie wykonywać swe obowiązki.

Pożywienie nieodpowiednie wywołuje zły wygląd, zaburzenia żołądkowe, psuje humor, zmniejsza siły do pracy, zakłóca sen i. t. d. Stąd wniosek, iż w kwestji odżywiania jakość pokarmu jest ważniejsza od ilości.

Wychodząc z tego założenia, Ovomaltine stanowi prawdziwą rozkosz zarówno dla podniebienia, jak i dla żołądka. Jako pokarm wysoce odżywczy, łatwostrawny i o miłym smaku, dostarcza ona organizmowi wszystkich niezbędnych dlań substancji, nie obciążajac przytem organów trawiennych.

Początkowo przeznaczona jedynie dla chorych, wkrótce stała się Ovomaltine rannym posiłkiem każdego pracującego człowieka.

Niech nam wolno będzie przytoczyć przykład.

Sprawozdanie lekarza:

„..... lecz ilekroć najstaranniejsza djeta zawiedzie, otrzymamy zawsze dobre wyniki, stosując Ovomaltine'ę."

Ovomaltine wnosi zdrowie i radość do pokoju chorego, smakuje każdemu i jest nadzwyczaj łatwostrawna. Daje ona siły i odporność, jakich potrzebuje każdy, aby stawić czoło ciężkim warunkom współczesnego życia.



Mała przedtem bledziutka, rozkwitła jak róża ... to też cała rodzina zaczęła przyjmować Ovomaltine'ę.

OVOMALTINE

podtrzymuje i zwiększa siły.

Dr. A. WANDER S. A., BERN

Firma założona w 1865 r.

Stosując Ovomaltine'ę rano, uczynicie rozkosznem wasze pierwsze śniadanie.

Ovomaltine'ę przyrządza się bardzo szybko: rozpuścić 2 łyżeczki do herbaty w filiżance gorącego mleka (nie gotując) i osłodzić do smaku. Otrzymamy wyborny napój odżywczy, wysoko ceniony również podczas wycieczek.

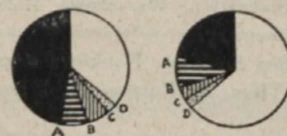
W sprzedaży wszędzie w puszkach 250 i 500 gramowych. Żądajcie prób bezpośrednio od fabryki.

Próba strawności Ovomaltine'y.

z zastosowaniem sztucznego soku żołądkowego.

na lewo: **roztwór 2 łyżek do herbaty Ovomaltine'y w wodzie.** na prawo: **czyste mleko krowie.**

Poniższe wykresy wskazują całkowitą ilość białka, zawartego w każdej z tych cieczy.



Ilość rozpuszczonej proteiny:

	A. na początku doświadczenia	B. po upływie 1 godziny	C. po upływie 2 godzin	D. po upływie 4 godzin
Mleko	22,3%	28,6%	31,6%	33,3%
Ovomaltine	47,2%	55,3%	62,0%	63,5%

Stwierdzamy, iż Ovomaltine na początku procesu zawiera podwójną ilość protein, przyczem proces jej trawienia odbywa się o wiele prędzej.

Redaktor odpowiedzialny St. KRZYWOSZEWSKI

Druk GALEWSKI i DAU, Warszawa

Humor francuski

Sąsiadki młodej wdowy, pani Róży, zanudzały ją zawsze propozycjami matrymonjalnemi.

Po jakie licho chcecie wydać mnie za mąż — odpowiadała im zwykle — mam psa, papugę, kota!

— Ależ — rzekła sąsiadka — to nie zastępuje mężczyzny.

— Jakto! Mówisz, że to nie zastępuje mężczyzny? Pies ujada bezustannie, papuga klnie cały dzień, a kot spędza całe noce poza domem...

•

— Pozwoli pan zwrócić sobie uwagę.

— Ależ owszem, proszę bardzo.

— Powinien pan zapuszczać rolety u siebie, gdyż co wieczór około dziesiątej widać przez story, jak pan ściska i całuje swoją małżonkę.

— Co za żart, o tej porze jestem zawsze w klubie.

•

Podczas głośnego procesu o obrazę moralności sala sądowa była nabita. Wśród publiczności znajdowała się wielka ilość ciekawych eleganckich pań z towarzystwa. Bo przewodniczący, obawiając się zbyt drastycznych szczegółów, uprzedził o tem publiczność.

Nikt nie ruszył się z miejsca. Wobec tego przewodniczący odezwał się.

— Ponieważ szczegóły tych rozpraw nie nadają się dla wrażliwych dusz kobiecych, proszę, by szanujące się panie opuściły salę.

I znowu nikt nie ruszył się z miejsca.

— Teraz, gdy szanujące się panie opuściły salę, niech woźni usuną resztę.

(h)

Humor angielski

— Wiesz, zwierza się Mary przyjaciółce, — zdecydowałam się poślubić Toma.

— Dlaczego Toma?

— Jest to jedyny człowiek, z którym rozwiodę się bez żalu.

•

— Panowie — zawołał mówca — każdy kieliszek wódki, przez was wypity, skraca wam życie o godzinę! Jest to jednogłośny sąd wszystkich lekarzy. Powtarzam wam, każdy kieliszek wódki skraca życie o jedną godzinę!...

W tej chwili wśród publiczności rozlega się krzyk rozpaczy. Do estrady zbliża się jakiś człowieczyna szlochając:

— Panie prelegencie, to jest straszne!

— Co jest straszne?

— To, co pan mówił! To jest okropne! Przed chwilą zrobiłem własny rachunek. Powinienem był umrzeć przed czterdziestoma laty.

•

Jaka jest różnica między chrześcijaninem a żydem:

Chrześcijanin, gdy dzień jest piękny, dziękuje Bogu za pogodę i słońce. A żyd mówi: Miły klimat.

(h)

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00. Ekspedycji 501-51
Konto czekowe P. K. O. Nr. 3755.
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak.-Przedmieście 13, (H. Europ.).

W ŁODZI: Biuro dzienników ugłosz. „PROMIEŃ" Piotrkowska 81, Księgarnia „Czytaj" Narutowicza 2, we LWOWIE: Oddział Tow. „RUCH"
CENY PRENUMERATY w Warszawie, odbiór na miejscu miesięcznie 4 zł. 40 gr., kwartalnie 13 zł., z odnoszeniem do domu miesięcznie 4 zł. 80 gr., kwart. 14 zł. 40 gr., na prowincji mies. 5 zł., kwartalnie 15 zł.
Zagranicą miesięcznie 7 złotych.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 20 gr.**

DRUK GALEWSKI I DAU, WARSZAWA.